



№ 47.

Prenumerata w Warszawie
rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 18 listopada 1876 r.

Prenumerata
na prowincyi i w cesarstwie
kwartalnie rs. 3.

Tom II.

Treść numeru. Bolesław Podczaszyński (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Przegląd polityki zagranicznej. — Wystawa przemysłowo-rolnicza (z 2 drzeworytami). — Lekcja muzyki (drzeworyt). — Pojedynek szlachejnych, komedia (dalszy ciąg). — Listy z wystawy filadelfijskiej (dokończenie, z drzeworytem). — Szachy. — Rebus. — Korespondencya z Poznania. — Ogrody zoologiczne Europy (dokończenie, z drzeworytem). — Kronika zagraniczna J. I. Kraszewskiego. — Szwedzkie dziecko, powieść (dalszy ciąg). — Stefan Lawrence, powieść (dalszy ciąg).

BOLESŁAW PODCZASZYŃSKI.

Jedną z zacniejszych zdobyczy w świecie moralnym niezaprzeczenie jest dobre imię i powszechne uznanie. Bywa to sąd zwykle nieomylny. Społeczeństwo też, tracąc cenioną osobistość jaką, słusznie powtarza za głosem ogółu: szkoda człowieka pożytecznego, uczciwego i sprawiedliwego. Tęm dotkliwszy zaś jest ubytek, jeżeli dotyczyka szczupłego grona pracowników na polu mało dotąd uprawianem, wymagającym często zaparcia się siebie i niepospolitej bezinteresowności.

Do rzędu takich ludzi należał właśnie zmarły u nas w tych dniach Bolesław Podczaszyński, którego całe życie oddane było wyłącznie nauce, sztukom pięknym i zgromadzeniu wszelakiego rodzaju zabytków zamierzchłej przeszłości, którą znał gruntownie i całym sercem ukochał. Okazało się też z czasem, co może, przy ograniczonych nawet środkach, usilność skierowana z zapałem do oznaczonego celu. Najlepszym tęg usilności świadectwem są zbiory pozostawione przez s. p. Podczaszyńskiego w takiej zupełności, że najzamożniejsze nawet muzea publiczne niezawsze podobnemi poszczycić się mogą. Ileż wymagały one ofiar, bezwzględnego, niekiedy może nawet nieopatrzego poświęcenia, z ujmą niezbędnych potrzeb własnych i swojej rodziny!

W ten sposób doszedł zmarły do kolekcji, dziś prawdopodobnie jedynę w takiej zupełności, odcisków i oryginalnych pieczęci monarchów, książąt, instytucyj duchownych i świeckich, rozmaitych zgromadzeń i możnych lub historycznych osób w dawnęj Polsce, wynoszącęj do kilkudziesięciu tysięcy okazów, ułożonych porządnie i oznaczonych należycie. Równie szacowny jest zbiór jego starożytności przedhistorycznych, znany i

ceniony przez uczonych starożytników obcych i krajowych, którego mała część, złożona z kilkudziesięciu okazów, odznaczoną była zaszczytnie na tegorocznym zjeździe archeologicznym w Peszcie.

Wielkęj także wartości posiadał zbiory rycin polskich, map, dyplomatów, rysunków, rękopisów i autografów, obok doborowęj biblioteki dzieł historycznych i odnoszących się do sztuk pięknych, zwłaszcza budownictwa. Ogromne, ułożone w porządku materiały do wielu przedsię-

branych prac, w zakresie sztuk pięknych i archeologii, świadczą że zmarły należał do liczby tych uczonych, którzy, niezadowoleni pewną wyłącznością, chcieliby najobszerniejsze spełniać załania. Ztąd, obok dzieł dokonanych i wydanych przezeń z druku, przedsiębrał nadto dużo innych prac, gromadził skrzętnie obfite zasoby, porządkował je i redagował częściowo, zostawiając dalszemu czasowi ostateczne ich wykończenie. Jest-to także drogocenna po nim spuścizna.

Wszystkie zresztą te zbiory, zostające w jego posiadaniu, nabywały większej jeszcze wartości przez nadzwyczaj chętnę udzielanie na korzyść nauki. Zalecała bowiem zmarłego rzadka między podobnymi miłośnikami uczynność.

Nauki swojej nie skąpił nikomu, owszem, życzliwie dopomagał w pracy innym. Była to jedna z pięknych cech jego charakteru. Przez lat 20 profesorstwa w b. warszawskiej szkole sztuk pięknych, wykształcił całe niemal pokolenie dzisiejszych budowniczych naszych. Od wielu z nich słyszeliśmy później przyznanie, że jemu winni to co umieją, a jeden ze znakomitych malarzy tutejszych wręcz przyznaje, że zawdzięcza mu kierunek i wskazanie drogi, po której doszedł do tego czem został.

Owóz treść zasług naukowych, położonych przez zmarłego. Dokładniejsze szczegóły jego życia, tudzież działalności jako profesora, budowniczego i autora, są następujące.

Paweł Bolesław Podczaszyński, syn Karola, znakomitego profesora zwyczajnego architektury w uniwersytecie wileńskim, znanego chlubnie w literaturze, i Ewy z Palczewskich, urodził się w Wilnie, dnia 2 lipca 1822 r. Wychowanie pierwotne i średnie pobięrał w domu rodzicielskim, od najcelniejszych podówczas w Wilnie nauczycieli. Następnie w r. 1837/8 uczęszczał na niektóre prelekcye w obu wyższych naukowych zakładach, istniejących w tęg mieście po zniesieniu uniwersytetu, mia-



Bolesław Podczaszyński. (Podług fotografii Klocha i Dutkiewicza).

nowicie słuchał wykładów nauk przyrodniczych w akademii medycznej, a literatury polskiej u prof. Leona Borowskiego, w akademii duchownej. Potem pobięrał prywatne lekcye wyższej matematyki u prof. uniwersytetu A. Wyrwicza, a języków starożytnych, greckiego, i łacińskiego, u prof. Adama Jochera.

Zawczasu, pod okiem ojca, sposobiony w umiejętności budowniczej, zarówno teoretycznie jak i praktycznie, już od r. 1834 brał czynny udział w pracach architektonicznych, to jako rysownik, to przy dozorze technicznym budowli stawianych w Wilnie i jego okolicach. Od najpięrszej młodości czując upodobanie do rysunków, nabył też niepospolitę biegłość w tej sztuce, pod okiem znanych mistrzów Rustema, Rusieckiego i Wańkowieza. Ztąd wszystkie jego prace architektoniczne i obrazowe zalecały się wytwornością, smakiem i wdziękiem.

Na wiosnę r. 1842 udał się za granicę, dla dalszego kształcenia się w podwójnym zawodzie. W tym samym czasie wezwany i zamówiony został kontraktowo przez księcia Ludwika Sayn Wittgensteina v. Berleburg do wyuczenia się hutnictwa żelaznego, dla objęcia za powrotem z za granicy dyrekcji jego fabryk i rudni żelaznych w Nalibokach i w Słucezynie. W tym celu i pracował przez czas pewien w zakładach górniczych król. polskiego, na Ślązku i w Saksonii; potem przeszło rok cały słuchał kursów uniwersyteckich w Berlinie, następnie w Paryżu w Sorbonie, w kolegium francuzkiem, w szkole kopalnictwa i w konserwatorium sztuk i rzemiosł. Otrzymała wszakże wśród tych zajęć wiadomość, iż książę Wittgenstein, zaniechawszy myśli eksploataowania na swą rękę rudni nalibockich i innych, wypuścił je w długoletnią dzierżawę, stała się powodem, iż Podczaszyński porzucił zawód górniczo-hutniczy i odtąd poświęcił się wyłącznie pracy w budowniczey umiejętności. Dalszy zatem pobyt w Paryżu i powrotna do kraju podróż już tylko do celów budowniczych były skierowane, przyczem wszakże nabyte różnostonne inne wiadomości wielką były dlań pomocą.

Przy końcu 1844 r. przybył do Warszawy, gdzie obszerniejsze niż w Wilnie otwierało się przed nim pole. Jakoż w r. 1845, po złożeniu egzaminu, miał sobie przyznany stopień wolno-praktykującego budowniczego klasy II i wkrótce, wezwany przez ówczesny Okrąg naukowy, wszedł do służby publicznej, mianowanym będąc nauczycielem rysunków architektonicznych i perspektywy w nowoutworzonej właśnie szkole sztuk pięknych. Odtąd stale pozostawał przy tej instytucji, przechodząc różne stopnie profesorskie, aż do czasu jej zamknięcia w 1865 r. Wykładał historią budownictwa, obok nauki rysunku architektonicznego, a od 1860 r., mianowany pięrszym nauczycielem architektury, miał sobie powierzony wykład teorii budownictwa, konstrukcji i kompozycji, oraz historii tej umiejętności.

Przytęm, obok powyższych zajęć, trudnił się praktyką budowlaną. W tym więc przeciągu czasu, oprócz kilku domów, w samęjże Warszawie wystawionych, wybudował lub projektował kilkanaście dworów, domów wiejskich i wiele budowli gospodarskiego użytku, we wszystkich niemal stronach królestwa. Do celniejszych prac tego okresu działalności jego należą między wielu innymi: Budowa kaplicy w instytucie szlacheckim (dziś Maryjskim) w Warszawie (1853), którego zresztą cała zewnętrzna elewacja wystawiona została podług projektów Podczaszyńskiego, robionych z polecenia władzy edukacyjnej. Kościół w Woli Ossowiński (w Lubelskim pod m. Radzyniem), zbudowany w stylu gotyckim (1853—1856). Bogate urządzenie wewnętrzne zamku w Staręj Wsi (pod m. Węgrowem), majętności należącej do księżny Maryi z hr. Jezierskich Golicynowej (1859—1862). Gruntowna restauracja, prawie przebudowanie pałacu hr. Ostrowskich w Tomaszowie rawskim (1859—1860). Kaplica w stylu staro-gotyckim przy kościele o. o. kapucynów w Lublinie (1860). Niektóre upiększenia, jako-to główna fontanna, we-

rendy ogrodowe w Wilanowie i wiele innych. Należał także do składu licznych komitetów naukowych, technicznych i artystycznych, przez władzę edukacyjną ustanawianych, mianowicie zaś do tych, które kilkakrotną reorganizacją szkoły sztuk pięknych miały na celu.

W ciągu całego swego nauczycielskiego zawodu w rzeczonej szkole, starał się Podczaszyński przedewszystkięm obudzić w młodzieży zamiłowanie do obranego przez nią powołania i wdrożyć w nią przekonanie o potrzebie wielostonnego naukowego wykształcenia dla budowniczego, którego działalność w blizkim zostaje związku z wieloma warunkami bytu społeczeństwa. Dlatego też w wykładach swoich i wyjaśnieniach wystrzegął się wszystkich *a priori* przyjętych formułek i teoryj, a starał się prowadzić umysły uczniów drogą ścisłego rozumowania, do właściwych wypadków naukowych. Tę myśl zasadniczą przyjąwszy od pięrszej chwili wstąpienia swego do szkoły sztuk pięknych, usiłował systematycznie przeprowadzić przez wszystkie gałęzie architektury, których kolejno nauczał. Szczególniej zaś rozwijać ją począł w całej obszerności, zostawszy głównym architektury profesorem.

(Dokończenie nastąpi.)

Kronika tygodniowa.

K r a j o w a .

Doroczny koncert na korzyść niezamożnych studentów uniwersytetu, jak zwykle, napęlnił wspaniałą salę ratusza tłumem publiki, która tam przyniosła swą sympatyą i wdowie swoje grosze. Dochód z tego koncertu uczynił 1800 rs., z czego okroił się ładny fundusik, po potrąceniu kosztów, nie tak jednakże ładny jak lat poprzednich, w których dosięgał 2000 rs. Pokazuje się że nadatki mniej tym razem były sute.

Dobrze się stało, że młodzieży uniwersyteckiej przybył zasilek, umóżebniający jej nabywanie wiedzy; nie zapominajmy jednak, że przyjdzie nam zapewne wziąć współudział pięniężny i w koncercie dla młodzi gimnazjalnej. W roku zeszłym koncert ten nie przyniósł spodzięwanego skutku, co dziwnie świadczyło o pojmovaniu przez masę potrzeby oświaty. Naszým zdaniem pomoc dla młodzieży gimnazjalnej o wiele ważniejszą grą rolę wobec dobra społecznego, niż pomoc celem wyższego kształcenia się udzielana. Społeczeństwu chodzić powinno przedewszystkięm o to, aby średnie ukształcenie rozpościęrało się w niem jaknajszęrszej, bo ono przeważnie czyni je oświeconým. I dzieciom też, szczególniej sierotom, trudniej daleko o wiedzę i światło, niż młodzieży dojrzalszej, która radzić sobie jako tako może, jeżeli tylko szęrsze tego pragnie. Rokrocznie prawie powtarzamy tę prawdę i wygłaszamy ją raz jeszcze, pomimo najserdeczniejszej sympatii dla naszej młodzieży uniwersyteckiej. Ceniąc jej pocziwą pracę i usilność, której nikt jej nie zaprzeczy, pragnęlibyśmy, aby nie zapomniano i o uczniach szkół średnich, którzy przecie za lat kilka staną się także w części młodzieżą uniwersytecką... Trzeba im tylko pomódcz, a wielu z nich bardzo pomocy potrzebuje.

W ostatnim numerze naszego pisma pomieściliśmy uwagi, wywołane wiadomością przez „Gołos“ podaną, jakoby władze zamierzyły usunąć wszystkich urzędników kolejowych pochodzenia polskiego. Obecnie z przyjemnością możemy donieść czytelnikom naszym, iż w tęp samym piśmie petersburskięm komisarz rządowy dróg żelaznych w królestwie polskim wiadomości podanej przez „Gołos“ zaprzeczył i w zaprzeczeniu swém nazwał ją *bezzasadną*. Ze strony więc „Gołosa“ była to tylko... *niewinna* insynuacyjka, jak wiele innych.

Muzeum przemysłowe zamknęło już pięrszą

wystawę swoją, rozdawszy świadectwa pochwały i uznania wystawcom, którzy na podobne odznaczenie zasłużyli. Było takich stosunkowo bardzo wielu, co przynosi niemały zaszczyt przemysłowi krajowemu.

Ciekawą teraz jest rzeczą, jaki też wzięła udział w wystawie publiczność i czy koszta urządzenia opłaciły się z funduszu za bilety wejścia zebranego. Koszta te, jak się zdaje, nie były wielkie, opłacenie się ich przeto jest prawdopodobnym. Byłoby to jedną więcę zachęta do ponawiania podobnych wystaw w przyszłości.

Aby jednak wystawy takie utarowały sobie gościnnie pewnego powodzenia, trzeba nadewszystko: 1) jaknajliczniejszego współudziału wystawców; 2) głośnego reklamowania wobec publiki i 3) dogodnej miejscowości do ich urządzania. Trzy te rzeczy tym razem dostatecznie uwzględnionemi nie zostały, powodzenie więc było z pewnością mniejsze, niżby być mogło. Boć prawdą jest, że dla braku miejsca ten i ów wystawca, choć szęrsze pragnął udziału, przyjąć go nie mógł, a inni ograniczać się musieli do minimum w liczbie okazów swęj produkcji. I to jest prawdą również, że z powodu zbyt już skromnego rozgłosu, wiele osób nie wiedziało nawet, że jakaś wystawa w Warszawie istnieje.

Doświadczenie atoli najlepszą jest wskazówką, a na drodze doświadczenia i tu bardzo wiele skorzystać można. Mijmy więc dobrą otuchę co do przyszłych wystaw, które oby stały się dorocznemi!...

W ozdóbnej szacie wychylił się temi dniami na świat „Noworocznik dla Warszawianek“, wydany przez p. Michała Koszulkę. I dobrze zrobił wydawca, że przystroił go w tę powabną sukienkę okładkową, boć wiadomo iż Warszawianki, oprócz przymiotów wewnętrznych, lubią także i wytworność zewnętrzną.

Co do owych zalet wewnętrznych, osądźcie je same, łaskawe panie, gdy książka, dla was przeznaczona, wpadnie wam w ręce. Nadmienić tylko winniśmy, że w części literacko-poetyckiej spotykamy w niej kilka nazwisk dobrze już znanych na polu piśmiennictwa polskiego.

Części kościelna, astronomiczna i informacyjna nie różnią się prawie w niczým od pomieszczanych w innych kalendarzach. Rzeczywistą zato i bardzo pożyteczną nowość stanowią wspomnienia dziejowe, zamieszczane przy każdym miesiącu, na każdy dzień osobno.

Pan Koszulko zapowiada swój noworocznik i na lata przyszłe. Życzymy mu, aby w dalszym ciągu swego wydawnictwa korzystać mógł jaknajobficiej ze wskazówek i głosów doradczych, o których w słowie wstępnyęm wspomina.

Pan *Wincenty Arnese*, członek Towarzystwa uczonych, literatów i artystów w Neapolu, przesłał nam poniższą odezwę, którą tu w dosłownym zamieszczamy przekładzie.

Panie redaktorze!

„Czytałem wyborny artykuł p. dra *Artura Wołyńskiego* o muzeum Kopernikowém, założonyęm przez uniwersytet rzymski, wydrukowany w numerze 892 szacownego pisma pańskiego, a w nim bardzo słuszne uwagi, dotyczące okoliczności, które towarzyszyły jubileuszowi wielkiego astronoma, obchodzonemu przez Polaków w Toruniu d. 19 lutego 1873 r. Winięm jednak uzupełnić niektóre braki, napotkane w opowiadaniu p. Wołyńskiego, co do udziału Włoch w rzeczonyęm uroczystości toruńskiej.

„I tak, na przykład, p. Wołyński zdaje się nie wiedzieć, że jeśli Włochy *urzędowe*, dla powodów które tu pomijam, lecz których łatwo się domyslić, wysłały prof. *Occioni*, jako przedstawiciela swojego, na obchód Niemców, toczącyęm spór z Polakami o narodowość Kopernika—to wzamian cała *inteligencya* włoska przyłączyła się wyłącznie do jubileuszu obchodzonego przez Polaków, czego dowód znajdziesz pan w adresach uniwersytetów Rzymu, Padwy, Bolonii i Neapolu, oraz kilku obserwato-

ryów astronomicznych półwyspu, które to dokumenta ogłosił Dziennik poznański, w d. 22 lutego 1873 r.

„Miałem zaszczytne zlecenie reprezentowania rzeczonych uniwersytetów na uroczystości urządzonych przez poznańskie Towarzystwo przyjaciół nauk, i gdyby nie nagła choroba, która, na nieszczęście, zatrzymała mnie w Wiedniu, w drodze do Torunia, byłbym odczytał w dniu obchodu poruczone mi adresy, gdzie wyraźna była wzmianka o narodowości polskiej Kopernika.

„Nie mogłem widzieć się w Rzymie z prof. Occioni, który już był wyjechał, gdy prof. Serafini, ówczesny rektor uniwersytetu rzymskiego, zawiadomił mnie o uchwale senatu uniwersyteckiego, zapadłej wskutek wezwania p. Berti, ministra wychowania publicznego, aby wysłać delegata na obchód niemiecki. Mieliśmy się jednak zjechać w Toruniu, i tylko nieszczęsna choroba moja przeszkodziła porozumieniu się z prof. Occioni co do roli, jaką każdy z nas miał odegrać na wzmiankowanej uroczystości.

„Oryginały tych adresów złożone są w archiwum poznańskiego Towarzystwa przyjaciół nauk, o czym doniesie uważam za swój obowiązek, aby obronić Włochy od niesłusznych zarzutów, czynionych im od chwili, gdy traf fatalny nie dozwolił mi wziąć udziału w obchodzie toruńskim.

„Dodaję że te same adresy drukowane były w dzienniku neapolitańskim *Piccolo*, wraz z kilku artykułami o Koperniku, mającemi na celu zbicie pewnych nieogłędnych wyrażań historyka Cantu, co do narodowości słynnego astronoma — artykułami, które spowodowały wymianę listów między p. Cantu a mną. Wszystkie te dokumenty oddaję do rozporządzenia p. Wołyńskiego.

„W nadziei że zechcesz pan niniejsze sprostowanie pomieścić w jednym z najbliższych numerów swego pisma, zostaję i t. d.

V. Arnese.

Z a g r a n i c z n a.

Akademia umiejętności w Krakowie ogłosiła w pismach publicznych, że z fundacji imienia Mikołaja Kopernika, którą ustanowiła gmina krakowska, co lat pięć urządzanym będzie konkurs na rozprawę w języku polskim, z zakresu astronomii lub nauk z nią spowinowacanych. Z fundacji tej przyznawana będzie nagroda w kwocie złr. 500 za najlepszą rozprawę.

Na pierwsze bieżące pięciolecie akademia jako zadanie do pracy konkursowej podała „obliczenie tablic biegu planety Juno,“ którą to pracę, z potrzebnym wstępem i objaśnieniami, należy przesłać w rękopisie, pod adresem akademii, po dzień 15 stycznia 1878 r. Przyznanie nagrody nastąpi w maju tegoż roku. Praca uwieńczona nagrodą, pozostanie własnością autora; w przeciagu roku jednak ogłoszoną być winna drukiem. Jeżeli autor tego nie uczyni, zastąpi go w tém sama akademia, a w takim razie traci on na jej korzyść prawo własności autorskiej.

* * *

Ze Lwowa donoszą. Do redakcyi jednego z tułtejszych czasopism, nadesłano list téj treści: „Milo wam zapewne będzie zaznaczyć fakt, którego osobistym byłem świadkiem i który dowodzi, oprócz innych zacnych uczuć, wielkiej szlachetności i niekłamanej skromności charakteru naszego malarza Henryka Siemiradzkiego. Byłem właśnie w Rzymie obecnym w chwili, kiedy Siemiradzki swojego „Nerona“ wykończył. Nie znaleźliśmy się przedtém. Dano mi jego adres i zachęcono, abym poszedł obejrzyć arcydzieło polskiego mistrza. Zastałem w pracowni Siemiradzkiego kilka pań Angielek. Każda z nich trzymała w ręku fotografie obrazów Matejki, które u Siemiradzkiego zawsze leżą na stole, a Siemiradzki obrazy te i znaczenie ich historyczne tym paniom tłumaczył, okazując tym sposobem, że naród jego więcej liczy mistrzów, którzy chwałę jego stanowią. Siemiradzki nie będzie mi miał za złe, że

ten szczegół nieznan, a przynoszący mu chlubę, do publicznej podaję wiadomości.

B. Wolowski.

Wiadomość tę czerpiemy z Gazety Polskiej. Tacy mistrze, jak Matejko i Siemiradzki, wyżsi są nad zazdrość poziomą, cechującą zwykle mierność. Spółzawodniczyć oni mogą ze sobą tylko na polu szlachetnej i wytrwałej pracy, którą kraj cały szczyli się już obecnie, a którą dosadniej jeszcze ocenią kiedyś dzieje naszej sztuki, stawiając ich na wyżynie, jednego obok drugiego.

* * *

Towarzystwo wzajemnej pomocy uczniów uniwersytetu Jagiellońskiego, którego kuratorem jest sam *rector magnificus* rzeczony uniwersytetu, dr. Fryderyk Zoll, rozwija się pomyślnie. Pomimo że w roku 1875/6 wydano na nagrody za rozprawy konkursowe złr. 689, a na pożyczki złr. 1,070 (opuszczamy krajcary), przewyżka dochodów nad wydatki wynosiła jeszcze złr. 2,026. Zawdzięczać to należy w części darom różnych osób dobroczynnych (złr. 544), w części dochodowi z płatnych odczytów (złr. 239), głównie zaś powodzeniu danego w karnawale na korzyść Towarzystwa balu, z którego czysty zysk uczynił złr. 652.

Z nadesłanych 13-tu prac konkursowych nagrodzono, na podstawie ocen profesorów, 10, kwotami od 40 do 90 złr. Na rok następny zaś, z tematów podanych przez profesorów, ogłoszono 29 zadań konkursowych z teologii, prawa, medycyny, fizyki, historii polskiej i filologii klasycznej.

Liczba członków zwyczajnych Towarzystwa wynosiła w roku ostatnim nominalnie 398; z tych jednak, niestety, aż 128, z powodu nieuiszczenia wkładek, zostało wykreślonych. Członków honorowych było 99.

Zycząc Towarzystwu i nadal z całego serca coraz szerszego rozwoju pożytecznej jego działalności, zwracamy w końcu uwagę układających sprawozdania, ażeby w przyszłości unikać się starali takich błędów językowych lub logicznych, jakich kilka znajdujemy zaraz na 1-jej stronie sprawozdania tegorocznego, np. „ograniczyć się na *własne siły*; pomimo zabiegów *na pojedynczych latach*; jego zabiegom *winniśmy zawdzięczać*; zwrócono pożyczek *więcej niż po inne lata* i t. p.

Przegląd polityki zagranicznej.

17 listopada.

Goniec urzędowy podaje następujące słowa, które Najjaśniejszy Pan wygłosił raczył w Moskwie: „Dziękuję wam, panowie, za uczucia, jakie chcieliście wyrazić mi z powodu obecnych wypadków politycznych. Stosunki polityczne wyjaśniły się teraz lepiej i dlatego gotów jestem przyjąć wasz adres z zadowoleniem. Wiadomo wam już, że Turcja uległa mojemu żądaniu bezwłocznego zawieszenia broni, celem położenia kresu bezużytecznej rzezi w Serbii i w Czarnogórze. W téj nierównej walce Czarnogórej okazali się, jak zawsze, prawdziwymi bohaterami. Żałuję iż nie mogę tego powiedzieć o Serbach, pomimo że w ich szeregach znajdowali się i nasi ochotnicy, z których wielu przelało krew za sprawę słowiańską. Wiem że cała Rosya wraz ze mną bierze najżywszy udział w cierpieniach naszych braci po wierze i pochodzeniu; lecz dla mnie rzeczywiste interesa Rossyi droższe są nad wszystko i pragnąłbym do ostatniej chwili oszczędzać drogą krew rosyjską. Dlatego starałem się i starać się będę o osiągnięcie drogą pokojową polepszenia losu wszystkich chrześcian, zaludniających półwysep bałkański. W tych dniach rozpoczęła się w Konstantynopolu narada przedstawicieli sześciu wielkich mocarstw, dla ustanowienia warunków pokoju. Pragnę bardzo, abyśmy mogli dojść do ogólnego porozumienia się. Jeżeli zaś to nie nastąpi, jeżeli się przekonam, że nie osiągniemy takich rękojmi, któreby w zupełności

zabezpieczyły wykonanie tego, czego mamy prawo domagać się od Porty, wówczas mam silne postanowienie działać samoistnie. Jestem pewny, że w takim razie cała Rosya odpowie na moje wezwanie. Jestem także pewny, że kiedy będę to uważał za potrzebne i kiedy honor Rossyi wymagać tego będzie, Moskwa, jak zawsze, da przykład z siebie. Oby Bóg dopomógł nam do spełnienia naszego świętego posłannictwa!“

W końcu zeszłego tygodnia telegramy londyńskie doniosły o treści mowy lorda Beaconsfield'a, mianiej na uczcie u lorda mayora londyńskiego. Pierwszy minister Anglii zapewniał, że rząd angielski ma na celu pokój, zapomocą utrzymania traktatów dziś istniejących, między innymi zaś i traktatu paryzkiego, w r. 1871 ponowionego. Zaznaczywszy że Anglia odrzuciła projek interwencji zbrojnej, oraz wysłania zbiorowej floty mocarstw pod Stambuł, p. Disraeli oznajmił, że rząd królowej pragnie polepszenia losu chrześcian tureckich i nawet najpierwszy udział wziął w téj sprawie. Lord Beaconsfield sądzi, że konferencye uznają taki pokój za trwały, który opierać się będzie na zasadzie utrzymania traktatów. Gdyby to osiągnąć się nie dało, gdyby wybuchnąć miała wojna, Anglia walczyć będzie jedynie za słuszną sprawę, dopóki nie stanie się zadość sprawiedliwości.

Tak więc położenie polityczne streszczone jest dokładnie w obu powyższych mowach, lecz myliłby się ten, kto by przypuszczał iż wojna jest niewątpliwym obecnym położeniem następstwem. Mocarstwa zbroją się wprawdzie, lecz każde z nich chętnieby chciało załatwić istotnie sprawę drogą pokojową. Ostateczny więc wypadek narad zależy jeszcze od wzajemnych na konferencyach ustępstw. Jakkolwiek trudno dziś już wyrzec stanowczo o rezultacie narad, sądzimy wszelako, że nadzieja utrzymania pokoju w Europie jeszcze nie jest straconą. Jeżeli mocarstwa zgodzą się na jedno w przedmiocie rękojmi reform, wojny stanowczo nie będzie, pomimo wszelkich wojowniczych pozorów obecnego położenia. Potwierdzenie tego przewidywania znajdujemy w ogłoszonym przez Jour. de St. Petersburg okólniku ks. Gorczakowa. Kanclerz ogłasza, że Najjaśniejszy Cesarz nie chce wojny i że ile możności unikać jej będzie, ale zasady sprawiedliwości, przez Europę uznane, muszą być w Turcyi wprowadzone i wykonane.

Co się tyczy konferencyj, to wbrew wszelkim pogłoskom, zbiorą się one niezawodnie. Wszystkie mocarstwa nadesłały już swoje przyzwolenie, a telegram ze Stambułu z d. 15 listopada donosi, że pewnym jest iż Turcyja, na usilne nalegania Anglii, zgodziła się także na konferencye, które odbywać się będą w Konstantynopolu.

OSTATNIE TELEGRAMY. Petersburg, 15 listopada. Ruski Inwalid zamieścił rozkaz Najwyższy o utworzeniu sześciu korpusów armii, w okręgu wojennym charkowskim, odeskim i kijowskim. Naczelnym wodzem mianowany J. C. W. K. Mikołaj Mikołajewicz starszy. Naczelnikiem sztabu Niepokojczycki, artyleryi ks. Massalski, inżynierii Deppé i inspektorem szpitalów Stolzenwald, a tamanem zaś wojsk nieregularnych Fomin.

Wiedeń, 15 listopada. Polit. Corr. streszcza program rękojmi żądanych przez Rosyją: rozbrojenie całej ludności Bośni, Hercegowiny i Bułgarii i oddalenie wojsk regularnych tureckich; przesiedlenie Czerkiesów do Azji; dawanie posad rządowych osobom wybranym przez ludność; ulepszenie systemu podatkowego; język krajowy w urzędach i sądownictwie; w każdej z trzech prowincyj gubernator chrześcianin; ustanowienie komisji konsularnej nadzorczej i nieustającej.

Zara, 15 listopada. Dowódcy powstańczy w Bośni zawiadomieni zostali, że i dla nich wyznaczono linią demarkacyjną. Działania wojenne zawieszono.

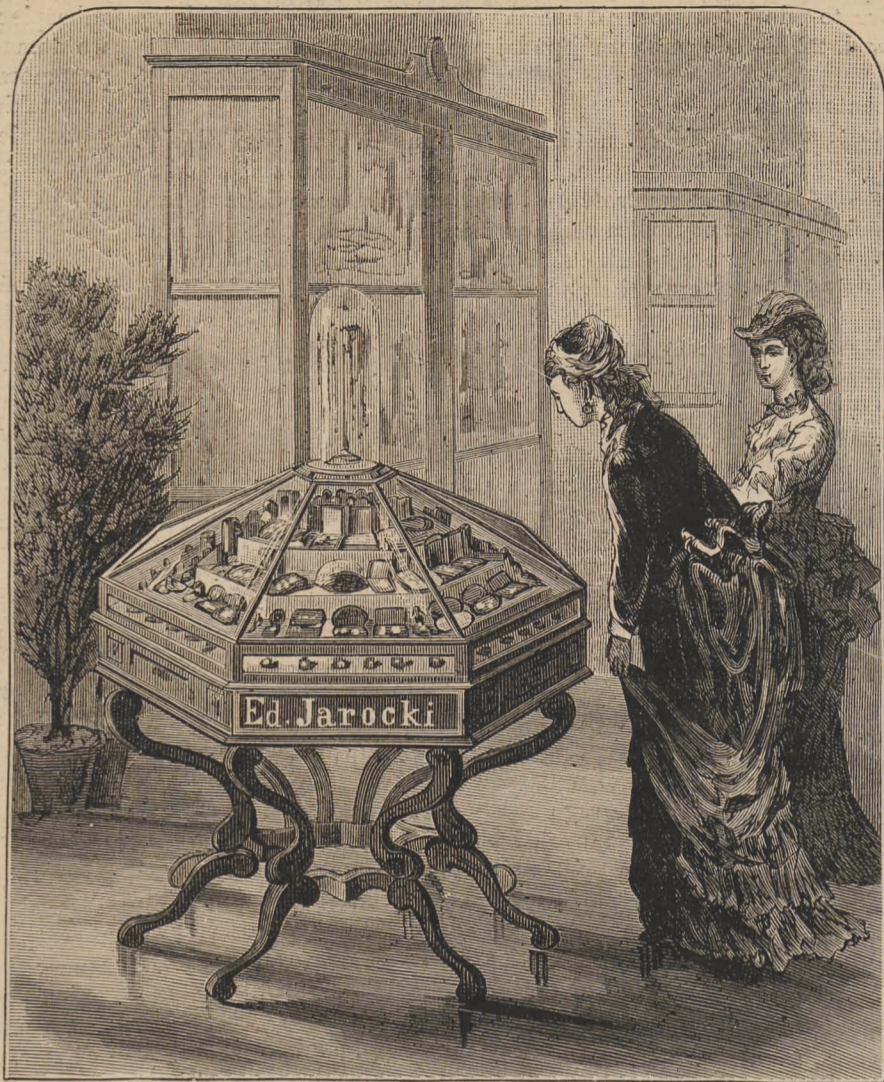
(Ind. Bel. Sch. Ztg. Jour. des Deb. Nord. Times)

Wystawa przemysłowo-rolnicza w muzeum warszawskim.

Trochę nam było ciasno, gdyśmy musieli przeciskać się pomiędzy szafami, sztalugami i maszynami, przyslanemi na wystawę; lecz w ciasnocie tej znajdowaliśmy pewną przyjemność, czerpiąc z niej dowód, że i przemysłowcy i publiczność tutejsza umieją ocenić wartość najszlachetniejszej areny do szermierki między głowami myślącymi i ramionami krzepkimi, wartość najlepszej szkoły, jaką wiek dzisiejszy odkrył w celu spopularyzowania wiedzy.

Z tej ciasnoty, z zupełnego zajęcia ścian, kątów i środków w salach muzeum, z nieprzerwanego pasma widzów, zwolna, uważnie i krytycznie przesuających się między szpalerami okazów, pozwalamy sobie wysnuć dobrą wróżbę dla corocznych wystaw. Wątpimy żeby saloniki muzeum długo wystarczyły fabrykantom i widzom, zwłaszcza jeśli w przyszłości, na kilka już miesięcy przed otwarciem wystawy, przemysłowcy, a bardziej jeszcze rolnicy, systematycznie zachęceni będą do udziału.

Nie podpada też wątpliwości, że prasa nasza peryodyczna zechce być wiernym kronikarzem tego rodzaju popisów, że nie zaniedba chwalić rzeczy godnych pochwały, lecz sumienną i umiejętną krytyką słabych



Wystawa przemysłowo-rolnicza w muzeum warszawskim. Wyroby jubilerskie p. E. Jarockiego. 287

stron naszych wyrobów stanie się dla przemysłowców bodźcem i wskazówką na drodze postępu.

Tak pojmując obowiązek prasy, pozwalamy sobie wyrazić bez ogródki, że tegoroczna wystawa podwójnie nas zadziwiła: przyjemnie i nieprzyjemnie. Przyjemnie w swjej całości; nieprzyjemnie zaś w tém, że czytając w przedsiönku wystawy, iż wchodzimy do ekspozycji „rolniczo”-przemysłowej i wiedząc że żyjemy w kraju przeważnie rolniczym, znaleźliśmy tylko bardzo skromny zbiorek ziarn i narzędzi gospodarczych. Były tam niezaprzeczenie dobre rzeczy, ale z tém zastrzeżeniem, że mianowicie w wystawie zboża (jeżeli nas dobrze informowano) najlepsze okazy figurowały już poprzednio przed publicznością. Gospodarze wiejscy dali więc dowód apatyji w obesłaniu wystawy. Fabrykanci narzędzi rolniczych nie lepiej postąpili. Ci też co się zgłosili na przemysłową tę biesiadę, na podwójną pochwałę zasłużyli, bo za współudział w wystawie i dobroć swoich wyrobów. Weźmy na przykład zbiór p. Rodkiewicza, ugrupowany w sali rolniczej, między oknami. Widły, grabie i t. d., ułożone na ścianie w wielki wachlarz z jasnego drzewa i lśniącego metalu, nie ustępują amerykańskim zgrabnością, lekkością, a prawdopodobnie i siłą; ogrodnicze zaś narzędzia na stole niegorsze są od zagranicznych. Podobny wyrok możnaby zapewne wy-



Wystawa przemysłowo-rolnicza w muzeum warszawskim. Sala główna.



Lekcja muzyki. Kopia obrazu Grütznera.

dać i o innych okazach domorosłych w tej gałęzi przemysłu, gdyby nie jaśniały... swą nieobecnością.

Zachwyciliśmy się szafą, zawierającą dar żabkowski wszystkich znanych odmian pszenicy, lub trafnie ugrupowanych zbiorów próbek drzew egzotycznych, albo śliczną zbiorową wystawę—skromnie w kącie się tulącą—rozmaitych grochów. Na nią kilkanaście złożyło się folwarków, jak i na inną podobną zbiorową wystawę ziarn mącznych, stojącą w przeciwnym rogu. Lecz podczas krótkiej wędrówki dokoła sali, mieszczącej te rzeczy, a ozdobionej w środku okazami metalowego płótna roboty mistrzowskiej, któremi p. Neumann zdobył sobie europejskie uznanie, wciąż mieliśmy na myśli, że w roku przyszłym zbiory liczniejsze i umieszczone nie w słojach zamkniętych, lecz w woreczkach otwartych, powinnyby nam się przedstawić.

Jeżeli oddział rolniczy zawiódł nasze oczekiwania, znaleźliśmy za to niespodzianie, w salach poświęconych wyrobom skórzanym i metalowym, miły i cenny komplet, który chętnie opisalibyśmy z drobiazgową dokładnością, gdyby zakres jednego artykułu na to pozwalał.

Nie mogąc tworzyć katalogu wszystkich okazów i wyręczyć w tym zarząd wystawy, oraz czując, że wyszczególnienie pewnych przedmiotów, a przypadkowe lub brakiem miejsca spowodowane milczenie o innych z niemi konkurujących, mogłoby rzucić na nas podejrzenie o stronność, nie będziemy oprowadzali czytelnika od przedśionka, wzdłuż perspektywy okazów, wiodącej z sali do sali.

Przystąpmy jednak do ozdobnych szaf ogniotrwałych, naśladowujących meble, które nietylko w kantorach, lecz i w pokojach mieszkalnych możnaby umieścić. Te wyroby pana Bothe'go zdają się lepsze i tańsze od podobnych znanych nam za granicą. Jedną rzecz tylko zastanawiała nas w kasach ogniotrwałych warszawskich: brak zamków, którychby otwieranie odbywało się nie kluczami, lecz zapomocą korbki, obracanej wedle kombinacji liter. Te zamki, ogólnie w Anglii przyjęte, opierają się najlepiej zamachom rzeźmięszków.

Z tego niezbyt rześcicie oświetlonego, lecz pięknymi kwiatami ozdobionego pokoju, przejdźmy do szczupłej komnaty, przepelnionej wagami, wyrobami miesięcznymi i blacharskimi, doskonałymi kuchenkami naftowymi, ogromnymi formami do cukru, przyrządem do parzenia bielizny i t. p.

Ztąd przez drzwi na lewo minimy skromne szafeczki z butami (a w jednej z nich była ciekawość, w kształcie pary butów myśliwskich, sięgających tak wysoko, że je nawet w kieszenie zaopatrzone) i ścianę okrytą skórąmi pięknymi. Na niej pp. Bauerfeind, Imroth, Temler i Szwede, Lubiński, Szlenker i t. d. rozwiesili swoje juchty, skóry na podeszwy, pasy, przyszwycy i rzemienie. Stoły pod nimi zawalono skórąmi, przykrojonemi już do użytku szewców i innych rzemieślników, lub rzemieniami, rurami nieprzemakalnymi i przyborami skórzanymi, wprost z fabryk garbarskich.

W jednej z grup takich okazów, przysłanej przez pp. Temler i Szwede, budziły powszechne zajęcie słoje z próbkami wszystkich płodów roślinnych, zawierających kwas garbnikowy. Dostrzegliśmy tam wszystkie surogaty kory dębowej, oraz okazy téjże kory, całej lub mielonej.

Obejrzawszy garbarską wystawę, zwracamy się ku mniejszemu okazom, pomiędzy któremi jeden, skromny zbiorek nieprzemakalnego obuwia, zasługuje choćby z tego względu na uwagę, że to wynalazek czysto kobiecy, że miękkie niewieście dłonie wykończyły trzewiki z pruneli lub skóry, nieustępujące w elegancji wyrobom przemakalnym, a zabezpieczone od wilgoci zapomocą masy, wynalezioną przez panie Przemyską i Piasecką. Okrążając salę, spotkalibyśmy jeszcze jedno imię kobiece—panny Heleny Kurnatowskiej, przewodniczki zakładu rękawiczniczego w Brudzewie, pod Kołem, którego nieliczne, w małej szateczce umieszczone wyroby, wydały się nam równe męzkim robotom.

Trudno wyrwać się z tej sali, ozdobionej przybo-

rami skórzanymi, o rozmaitych barwach i formach. Tam nęci siodło, co 6 funtów waży, lub dwie pary chomontów, eleganckich i lekkich, o gustownych brązowych albo platerowanych ozdobach, lub siodło damskie, storublowe, o haftach wytwornych. Są to wyroby p. Brandstettera. Niedaleko od nich wiszą ich konkurenci z fabryki pana Romanowskiego, świeżące brązami, platerami i lakierami. Ceny obydwu fabryk zdają się jednakie. W zbiorze ostatnim dostrzegamy nowości: mianowicie siodło bez łęku i uprzęż arabskiego kroju.

Przedziały pomiędzy wystawami siodlarzy zapelniono mnóstwem kuferków, wyrobów galanteryjnych, rękawicznicznych, szewskich i rymarskich. Stoi też tu ładna próba tapicerskiej roboty w postaci fotelu, obitego karmazynowym safianem i ozdobionego ćwiekami z francuzkiego brązu. Taniós naszych skórzanych produkcji jakiegokolwiek rodzaju zadziwia ludzi przybywających z zagranicy.

Ogólnie mówiąc, materiał użyty w okazach w tej sali umieszczonych (począwszy od jelonkowej skóry, z jakiej jeden wystawca całe garnitury przysłał, i safianów we wszystkie kolory tęczy, a kończąc na juchtach tęgich) celuje miękkością i cechami trwałości. Robota prawie zawsze dobra, fasony gustowne. Tu i owdzie spotyka się niedoręczności, widocznie dla reklamy tylko przesłane, n. p. buty szyte złoconą dratwą i o cholewach, które pewno po gardłoby sięgały, gdyby obuwie takie ktokolwiek wdział zdołał. Są przy nich średniowieczne ostrogi i noski ciężkie platerowane, żeby i do polowania pieszo i do harcowania konnego służyły. Wszystko to ładne, a przecież uderza każdego, że takie buty nie do noszenia, lecz na cel wystawowy zrobiono.

Przykład ten przytoczyliśmy na dowód, że publiczność prędko się poznaje na reklamie, w formie okazów wyłącznie na to wystawionych, żeby oczy gawiedzi ściągać. Zwiędzanie licznych wystaw europejskich dało nam przeświadczenie, iż najlepszą metodą w celu zdobycia sobie uznania jest przysyłanie próbek, wiernie przedstawiających zasoby warstwu.

Bawilibyśmy dłużej w tej sali, gdyż ze wszystkich oddziałów wystawy ona najbardziej zadowala umysł widza polskiego. Tu widziemy, że choć w jednej gałęzi przemysłu nie chodzimy na pasku zagranicy i dzięki samoistnej energii, wkraczamy na pole wywozu.

Weszliśmy wreszcie do sali, będącej tém dla wystawy w muzeum, czém rotunda była dla wiedeńskiej.

Kurs nasz w paradnej tej sali był powolny i systematyczny, chociaż przyznamy, że bylibyśmy woleli ominąć rzecz niejedną i odszukać to tylko, o czém pochwalnie nas uprzedzono. Dla braku jednak katalogu, wypadło obchodzić salę w sposób systematyczny i czytać wszystkie etykiety przyczepione do okazów. Ten system etykietowania podobał nam się osobiście; lecz odważamy się na uwagę, że istnieją ludzie, co oprócz znużonego odszukiwania napisów, lubią także znaleźć bez trudu w katalogu numer i umieszczenie okazów, i zamiast przepisywania etykiet do swoich książeczek, podkreślać tylko w katalogu, by spokojnie potem w domu pisać sprawozdania, albo polecenia kupna. Podejrzujemy nawet, że 500 takich osób, posiadających 500 półrubli, znalazłoby się w Warszawie, i dlatego proponujemy odbicie pięciuset katalogów w roku przyszłym, jeżeli wystawa do skutku w nim przyjdzie.

W przechodzie do cynkowych odlewów p. Mintera i wynalazków p. Majorkiewicza, wypadło obejrzeć liczne, iskrzące się szafy, pełne wyrobów srebrnych, lub platerowanych, jakoteż dłużej spoglądać na rozmaite odlewy brązowe, o barwach i fasonach dość niesmacznych dla naszego oka.

Mówiąc o nich, wypadnie nam się poróżnić kardynalnie z niejednym krytykiem, który, uwzględniając może iż to są rodzime wyroby, łaskawiej o nich się wyrażał, niż my się odzywamy.

(Dokończenie nastąpi).

POJEDYNEK SZLACHETNYCH.

Komedia w 4-ach aktach,

ORYGINALNIE PROZĄ NAPISANA

przez

Sewera.

(Nagrodzona na tegorocznym konkursie dramatycznym warszawskim).

(Dalszy ciąg).

LETTY.

Z powodu częstych u mnie wizyt pana Brick, asystenta banku angielskiego.

NORTH.

Wizyty pana Brick sprawiają pani przykrość?

LETTY.

Wcale nie, mój lordzie. Pan Brick jest bardzo wesoły, a wtedy tylko smutny, gdy ja się gniewam. A jeżeli powiem coś zabawnego, jest nadzwyczaj szczęśliwy i uważa to za wyskok dowcipu. Panu Juliuszowi zaś wszystko jedno, czy mi smutno na sercu, czy nie.

LORD.

I to panią gniewa?

LETTY.

Uczonym, mój lordzie, dużo się przebacza. Pan Juliusz, tak samo jak nieboszczyk mój brat, jest uczonym.

NORTH.

Lecz panu Brick zapewne nic się nie przebacza, może dlatego, że nie ma zaszczytu należenia do powag rozumu.

LETTY.

Pan Brick, mój lordzie, jest dobrym człowiekiem. Niedawno temu powiedział: „Nie mam nadziei być ani sławnym, ani nieśmiertelnym, ale to wiem, że pozostanę zawsze uczciwym obywatelem i...“

NORTH.

Dokończ pani, czybyś nie miała do nas zaufania? (Lord wyciąga rękę, Letty podaje swoje.)

LETTY.

O nie, mój lordzie. Czyż można nie mieć zaufania do protektorów mego opiekuna? (Spuszcza oczy.) Otóż dodał: „i... przywiązany mężem.“

LORD.

I zgodziłaś się pani na to zapewnienie?

LETTY.

Ja wtedy, mój lordzie, uczulam, że mnie twarz pali i nie chcąc pokazać rumieńców, wyszłam na chwilę. Od tego czasu pan Brick nic podobnego już nie powiedział; może się lęka. Zato pan Juliusz coraz częściej mi dokucza. Raz nawet przy panu Brick zapytał się mego braciszka: „a gdzież nasza przyszła pani bankierowa?“ Dobrze to słyszałam z drugiego pokoju.

NORTH (w doskonałym humorze).

Tymczasem zaś, czekając dopóki nie wzrosnie odwaga pana Brick, zajmujesz się pani w domu swoim młodszym bratem?

LETTY.

Nietylko nim, mój lordzie; pracuję, bo muszę pracować. Majątku nie mamy. Udzielam lekcye muzyki na fortepianie.

LORD.

Jesteś więc pani artystką?

LETTY.

Podług opinii pana Juliusza tylko wtedy, gdy gram jego ulubionego walca.

NORTH.

Czyjś kompozycyi?

LETTY.

Nie wiem, mój lordzie. Raz tylko pan Juliusz mi go zaśpiewał, prosząc abym go wygrała. (Wstaje i zdejmując rękawiczki, idąc do fortepianu.) Muzyka melodyjna kołysze serce, łagodzi tęsknotę.

NORTH.

Czy opinią tę podziela również i pan Brick?

LETTY.

Nie wiem, mój lordzie. (Zaczyna grać walca.)

NORTH (do lordy).

To przecież wale Lidy?

LORD.

Byłem tego pewny. (*Pokazuje na Letty.*) Rozkoszne dziecię!

NORTH (*z dumą*).

Zwyczajnie, Angielka. (*Chodzi po salonie i zbliża się do lorda.*) Przegraliśmy po raz trzeci.

LORD.

Stało się!

NORTH.

A mnie to zachwyca.

LORD.

Czy blizka porażka wigów?

NORTH.

Na każdym punkcie pokonał nas!

Scena 13.

Ciż sami i LIDYA, *wchodzi z prawej strony widzów. Niepostrzeżoną staje obok kotary, słucha muzyki i patrzy na lordów.*

LIDYA (*do siebie*).

Ah, teraz pojmuję jego sympatyę do tego walcu i radość moich opiekunów. (*Wychodzi z rozpaczą.*)

NORTH (*chodząc dalej*).

Ponieważ nie już nie stoi na przeszkodzie, James, do czynu!

LORD.

Ponieważ nie może być opozycji, zdobywajmy pozycję!

NORTH.

Po naszymu!

(*Muzyka gra walca.*)

Koniec aktu trzeciego.

AKT IV.

Scena 1.

Wspaniała sala zamku Harvey. Lord i North wchodzi żywo przez roztwarte podwoje, ubrani balowo.

LORD.

No i cóż, mój szlachetny Norcie?

NORTH.

Wybornie, wysmienicie, zwycięstwo zupełne!

LORD.

A królowa?

NORTH.

Nasza dobra pani zgodziła się na wszystko. Powiedziałem: najjaśniejsza pani, jeżeli przysłemu Burghleyowi powierzą obronę fortecy, lub okrętu, na którym powieść będzie flaga Anglii—potrafi on utrzymać wysoko tradycję naszą.— „Jesteś tego pewny, mój lordzie?” przerwała królowa dobrotliwie. Na potwierdzenie przytoczyłem historią naszego szturmowania baszty.

LORD.

I cóż?

NORTH.

Uśmiechała się nasza dobra pani, mówiąc: „Lord Harvey zawsze pomysłowy, a pannę Brougham przypominamy sobie.”

LORD.

Tak powiedziała dobra królowa?...

NORTH.

I nareszcie oświadczyła mi: „Jeżeli to jest twoim życzeniem, mój lordzie, a zamiarem lorda Harvey i, jak utrzymujesz, z korzyścią będzie dla Anglii, w co wierzę,—to my z naszej strony przychylamy się do waszej prośby, na co i parlament, mamy nadzieję, pozwoli.” Niech żyje królowa! James, uściskaj mnie!

LORD.

North, mój szlachetny North! (*Ściskają się.*)

NORTH.

Papięry wiezie Kidd. A teraz wystaw sobie wściekłość kuzynów, zawiedzione nadzieje kuzynek—plotki, intrygi, żal, lzy, ciekawość, sympatyę ze strony opinii i skrytą zawiść wigów!

LORD.

Nam na starość należy się także pewna rozkosz. Rozumiesz, rozkosz starości, która się umie cieszyć upajającym widokiem szczęścia młodych.

NORTH.

Zasłużyliśmy, kochany James, zasłużyliśmy na nią.

LORD.

Zresztą, trzeba nam rody swoje odświeżać, je-

żeli nie chcemy zmarnieć. Byle tylko szczęśliwie wybierać.

NORTH.

Anglia zawdzięcza wielkość swoją temu odświeżaniu. Ród nie ginie, lecz rodziny, które go reprezentują, zmieniają się i dlatego rody kwitną.

LORD.

Wybornie, sprawiedliwie!

NORTH.

I znów niema Kidda!

LORD.

Poco?

NORTH.

Żeby notować.

LORD.

Bądź spokojny, ja spamiętam.

NORTH.

James, przyznam ci się, czuję że mi jakoś dobrze i lekko a gorąco na sercu, jakbym się miał zakochać.

LORD.

Kochać się w naszych przybranych dzieciach, w ich młodości, która odradzać nas będzie.

SŁUŻĄCY.

Mister Kuff i Pocock.

LORD.

Wprowadzić.

Scena 2.

LORD. NORTH. KUFF I POCOCK.

Kuff, ubrany w strój z czasów Restauracji, w białej kamizelce i białej chustce na szyi, wybiega naprzód; Pocock, z ręką przy uchu, zostaje przy drzwiach.

KUFF (*z ogniem*).

Albo on, albo ja...

LORD.

Ależ panie Kuff, nie tak gwałtownie, zaszkodzi ci!

KUFF.

Tak, zaszkodzi mi! A to mi nie szkodzi, gdy mnie pod twoim dachem, mój lordzie, policzkuje, ubliżając nauce i powadze?

NORTH.

Ależ panie Kuff, czy znowu nie przesadzasz zbyt mocno?

KUFF (*zapalając się gwałtownie*).

Przesadzam—ja, przesadzam, gdy mi mówią że Liwusz był bajaranem... Liwusz bajaranem!

LORD.

A o Tacycie co odważono się powiedzieć?...

KUFF.

Nie śmiem powtórzyć, aby nie skalać ust swoich.

NORTH.

Panie Kuff, odwagi, podziel się z nami swoim oburzeniem.

KUFF.

Powiedział mi ten więzień, że Tacyt był despotą z partii oligarchów i że dlatego nienawdził cesarów, bo mu władzę odebrali. A gdyby ją posiadał... Nie, to się nie da powtórzyć—to hańba! Nie chcę go widzieć w mej bibliotece—(*poprawia się*), w naszej bibliotece, (*cicho*) w twojej bibliotece, mój lordzie.

LORD.

W twojej, kochany panie Kuff, w twojej, tylko mam nadzieję że mi ją zapiszesz w testamencie.

KUFF.

Uporządkowaną i zbogaconą!

NORTH.

No, i stanowczo nie chcesz być w towarzystwie tego człowieka?

KUFF.

Za nie! U niego historia zaczyna się od Macaulaya, opisującego gościńce, szynki, kawiarnie i poczty. To nie do wytrzymania!

LORD.

A to okropne!

KUFF (*zbliżając się tajemniczo*).

Powiedział że Buckle, ten półgłówek, co utrzymuje że zimno lub deszcz wpływają na dzieje świata—jest (*głośno, z mocą*) rozumnym człowiekiem!

NORTH (*udając zdziwionego*).

Niepodobna!

KUFF.

Wszystko jest dziś podobne; ale póki Kuff żyje... Bo co jeszcze powiedział, że łacina i greczyzna już się zużyły, poprostu, że nie są potrzebne. Ach, jeżeli takie pojęcia mają się rozszerzać, to lepiej niech zginą ci co je wyznają; spalić ich, zniszczyć, wytepić! (*Pocock podczas całej sceny pomalutku się zbliża, z ręką na uchu.*)

KUFF (*spogląda na Pococka*).

Pocock powiedział że ma być... (*robi ręką gest ścięcia.*)

POCOCK.

Ha, oczywiście; więzień stanu. Najjaśniejsza pani powiedziała: „Do Pococka z nim!”

LORDOWIE.

Co? Co?

POCOCK.

Słowa królowej wysoko się cenią w tym zamku. A rozumie się!

KUFF.

A jeżeli ma iść (*pokazuje ręką cięcie*), niech ginie raczej, niż żeby miał bluźnić, spotwarzać cześć mężów starożytności i deptać przeszłość Grecyą, moją ukochaną Grecyą spotwarzać! I za co, mój lordzie? Cóż mu winna ta cicha kraina, która nam zostawiła przykłady bohaterstwa, wzory piękna, pieśń, tragedię i wielkie idee filozofów? Niech przepadną materyaliści, pozytywiści! Wytepić, wytepić ich, ratować społeczeństwo!

LORD (*z mocą*).

Będiesz miał zadośćuczynienie, zupełne zadośćuczynienie, panie Kuff. (*Do Pococka.*) Przywołać więźnia! (*Pocock odchodzi.*)

KUFF (*zaambarasowany, wahająco*).

Jednak, gdyby można go oszczędzić... młody ten człowiek tyle ma wiadomości. Łacina jego przypomina mi Salustyusza. (*Nagle, stanowczo.*) Jeżeli ja, mój lordzie, mam wpływać na twój sąd i potem dźwigać to na sumieniu... (*Blagalnie.*) Mój lordzie, to niepodobna!

LORD.

Grecyą spotwarza... niech ginie!

NORTH.

Tak, tak, pod naszym dachem niewolno Grecy spotwarzać.

KUFF.

Niezupełnie ją spotwarzał, mój lordzie, niezupełnie, nie chcę być kłamcą.

NORTH.

Panie Kuff, cofasz się?

KUFF (*thumacząc się*).

Ależ-bo mówił... mówił tylko, że już czas abyśmy dalej o własnych szli siłach i nie oglądali się na Grecyą. (*Zapala się.*) Ależ to bezczelność, odwracać się od Grecy!

NORTH.

Od Homera! Biada tym, którzy się odwracają od Homera!

KUFF (*zapominając się*).

Biada!

LORD.

Biada barbarzyńcom! Wytepić ich!

KUFF.

Wytepić!... (*Reflektuje się.*) Ależ, mój lordzie, ja myślę o przekonaniu zaślepionych.

LORD.

A toż co? pan Kuff, nieublagany nieprzyjaciel nowatorstwa i szatańskich wyrobów materyalizmu, mówi o przekonaniu?... Niema przebaczenia dla ludzi urągających ideałom ludzkości!

KUFF (*zapalając się*).

O nie! to prawda... Ależ mój lordzie, zabijać...

NORTH.

Wszak sam tego chciałeś, panie Kuff.

POCOCK (*wchodzi*).

Więzień czeka.

KUFF (*rzuca się naprzód*).

Błagam o zwłokę!

LORD.

Zgoda, dwadzieścia cztery godzin zostawiam dla stanowczego zwrócenia przestępcy na drogę prawdy. Panie Kuff, pracuj!

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

Listy z wystawy
filadelfijskiej,
Sygurda
Wiśniowskiego.

Wystawa krajowa.
(Dokończenie.)

Maszynom p. p. Lilpop, Rau i Loewenstein nielepiej się wie dzie, jak ceramicie Cybulskiego. Ja piérwszy moze wdrapalem się na wielką młocarnię, z krzywdą méj odzieży, by zajrzeć do jéj wnętrza. Maszyny tego systemu nie zwracają uwagi Amerykanów, używających młocarni lekkich, psujących się często i nie-trwałych, lecz łatwych do przewożenia przez jary i rowy, z fermy do fermy, dla młócenia zboża w polu. Nie znam większych koczowników nad młocarnie amerykańskie. Choć kosztują około 900 dolarów, krążą przez sześć lub osiem zim swego istnienia po polach, spoczywając w lecie na słońcu i deszczu, aż się rozleczą, poczem właściciele ich nabywają nowe, ulepszone maszyny, aby znów je wynajmować fermerom po 14 dolarów dziennie i zniszczyć w lat kilka. Takie młocarnie muszą, dla oszczędzenia robocizny, odgartywać



Washington. Popiersie marmurowe Teodora Rygiera Warszawianina, z wystawy filadelfijskiej.

słomę i jak wielka młocarnia warszawska od dzielać dwa gatunki zboża od poślada.

Młocarnia na koni-czynę, mianowicie zaś jednokonna na zboże, bardzo się podobały i zdały fermerom amerykańskim, gdyby im je przedstawiono we właściwym świetle. Lecz oni wierzą dotąd, że ta ostatnia jest przyrządem do tarcia buraków, lub mielenia trzciny cukrowej, bo dyszla i koła obrotowego nie umieszczono na niej, ani przyklepiono do niej kartki, mówiącej że się na młocarnię patrzy.

Jakby dla skupienia całej wystawy p. p. Lilpop Rau i Loewenstein w jednym głuchym kącie pałacu rolniczego, pod ścianą zachodnią, posłano tam ich dziesięcio-konną lokomobilę, oraz bufory, haki, sprzężyny, śruby, mutry i rozmaite przybory kolejowe. Lecz któż ich będzie szukał w pałacu rolniczym? Tam stojąc, są one hors de concours z podobnymi zagranicznymi okazami, umieszczonemi w pałacu maszyn.

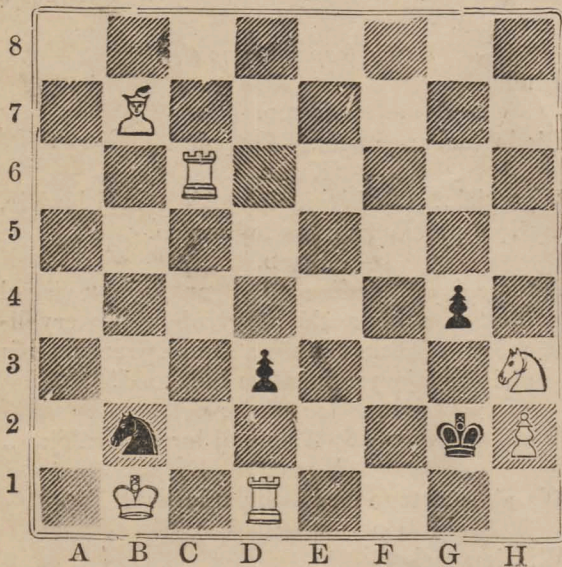
Żniwiarkę tychże fabrykantów umieszczono osobno, gdzie wspólnie z Warszawianką spożywała pył i spała, gdy się odbywał konkurs maszyn amerykańskich, na łanach pensylwańskich. Szkoda że zaniechano

290

SZACHY.

ZADANIE XL.

Białe zaczynają i dają mata za 2 posunięciem.
Czarne.



Rozwiązanie zadania szachowego nr. 39.
Białe. Czarne.

- 1) D8—D7 1) E7—D7 białą (a, b)
2) E5—H8 † odkr. 2) E4—F5 białą.
3) E6—E5 † i mat.
(a) 1) E4—F5
2) E6—F6 † † 2) F5—E5 białą.
3) D7—D4 † i mat.

- (b) 1) E4—E3 białą.
2) D7—D2 2) E3—D2 białą.
3) E5—F4 białą † i mat.

NAKLAD JÓZEFA UNGRA.

Emigracya chłopska.

OBRAZ DRAMATYCZNY LUDOWY

W PIĘCIU AKTACH,

n a p i s a ł

Władysław Ludwik Anczyca

Uwieńczony nagrodą ludową na konkursie krakowskim
1876 r.

Utwór ten, dzielnego pióra, cieszący się bezprzykładnym powodzeniem na scenach polskich, dotyka bardzo ważnej sprawy, trapiącej ludność Galicji i w. ks. poznańskiego. Żywiół ludowy, odtworzony ze znajomością niepospolitą ludu, odgrywa tu rolę piérwszorzędną, i na jego to tie rozgrywa się smutny dramat, który w sztuce Anczyca przewija się w mnóstwie scen i sytuacji, pełnych barwy i życia. Piérwszy to dramat ludowy w naszej literaturze, a jak to wogóle krytyka uznała, dramat celujący wyborem treści, żywotnością i artystycznym obróbiem.

C E N A:

w Warszawie kop. 40.
z przesyłką do cesarstwa i na prowincyą „ 50.

Adres: Józef Unger, Nowolipki, nr 2406 (nowy 3)

REBUS.

291



Znaczenie rebusa umieszczonego w nr. 46.

Kto igra z ogniem, pewno się osmali.

posłać jej na tę próbę ogniową, by dowieść Amerykanom, że chociaż żadna inna europejska fabryka nie ośmieliła się przedstawić swych żniwiarek w Nowym świecie, słynącym z wyrabiania doskonałych maszyn rolniczych, warszawscy reko-dzielnicy nie lękają się współzawodnictwa z nimi, choćby na własnych ich łanach. Że maszyna p. p. Lilpopa, Rau i Loewenstein w niczem nie ustępuje najlepszym żniwiarkom zamorskim, wypowiedziałem przed kilkoma tygodniami w jej opisie szczegółowym, umieszczonym w Tyg. Ilustrowanym nr. 40.

Opuściwszy żniwiarki, udałem się do wódek i piwa, tak szczelnie zakorkowanych i zamkniętych, że nawet amerykański reporter nie mógłby się dostać do wnętrza butelek. Wystawa taka nie ma celu, jeżeli przy szafach nie stoi ktoś, sprzedający próbki trunków konsumentom hurtowym, co wobec przepisów celnych amerykańskich działać się nie może.

Dwa pocieszające fakta zacerpnąłem jednak przy tej wystawie. Najpierw że nasi gorzelnicy i piwowarzy nie gardzą swojskimi, oddawna miłymi polskiemu uchu nazwami; powtóre że wyrób i konsumpcja piwa wzmagają się u nas, odciągając lud od niszczącej go moralnie i materialnie gorzałki.

Na zakończenie mego niedokładnego opisu wystawy jubileuszowej, zostawiłem wzmiankę o cukrach. Na wstępie do niniejszego sprawozdania wyraziłem się pochlebnie o zbiorowej wystawie cukru, przysłanej z Warszawy i południowo-zachodnich gubernij cesarstwa. Pomiędzy okazami z tych ostatnich widziałem produkta fabryk ks. Romana Sanguszkii i hr. Alfredowej Potockiej, między Dniestrem i Dnieprem, zajmujących parę tysięcy ludzi. Ryszard Kiemens z powiatu olgopolskiego na Podolu, Bazyli Tarnowski, który aż do czernihowskiej gubernii się wyniósł, Janienko i Semirenko z Aleksandrowska, w węglodajnym czehryńskim powiecie w gub. kijowskiej i inni także obeszli wystawę. Okazy Janienki i Semirenki są już dlatego godnymi uwagi, że pochodzą z rafinerji produkującej cukru za ogromną sumę 3,600,000 rs.

Zbiór cukrów z fabryk bliższych Warszawy, przysłany podobno w skutek zabiegów amerykańskiego konsula w waszém mieście, dowodzi że w żadnej części monarchii nie stanęło cukrownictwo tak wysoko, jak w królestwie. Na zbiór ten złożyły się następujące rafinerje:

Młodzieszyn, Krasiniec, Hermanów (nagrodzony złotymi medalami w Wiedniu, Paryżu, Londynie, Petersburgu), Żyskowice (na tychże wystawach i w tenże sposób uczczone), Dobrzelin (z dyplomem pochwalnym z Wiednia), Walentyńów, Ostrów, Guzów (z medalami srebrnymi z Londynu, Paryża, Wiednia, Moskwy), Opołe, Łanięta, Izabella, wreszcie Sanniki (których okazom przyznano złote i srebrne nagrody w Londynie, Wiedniu, Moskwie i Warszawie). Z fabryk tych guzowska, datująca się od r. 1834, jest najstarszą, najmłodszymi zaś Łanięta i Izabella, dopiero w r. 1875 założone.

Każda rafinerja przyłączyła do swych okazów ciekawe dane statystyczne, uwzględniane przez sędziów przy rozdawaniu nagród, co do konsumpcji opału i buraków, produkcji cukru, trybu pracy, ilości rąk i maszyn używanych i t. d. Zanim najwyższe władze przejrzą te daty, nie wypada mi nadużywać otrzymanego łaskawie pozwolenia, bym się w nich rozpatrzył, a nawet je ogłaszał. Ogólne więc tylko wnioski, na nich osnute, wyświadcające cokolwiek stan i ważność polskich cukrowni, przekładam czytelnikom.

Wymienione rafinerje zajmują przeciętnie po 50 zręcznych rzemieślników i 500 wyrobników, chociaż są pomiędzy nimi fabryki oplacające zgórą 1000 ludzi. Śmiało więc rzec mogę, że byt 8000 rodzin zawisł od powodzenia powyższych zakładów, nie licząc rolników buraki sadzących.

Zdaje się z dat wspomnianych, że rafinerje nasze konsumują w przecięciu plon z 2000 dziesiątyn i że produkcja dziesiątyny wynosi 80 korcy buraków. Produkt 120 berkowców buraków równa się mniej więcej 75—80 pudom cu-

kru; wartość puda podają na rs. 6 kop. 50 do rs. 7 kop. 50. Summa rocznej produkcji wymienionych zakładów sięga wartości 7,000,000 rs. Rynek na swe wyroby znajdują w Warszawie, Rydze i Petersburgu. Wszystkie używają potężnych maszyn parowych, o sile 100 do 400 koni. Węgla organicznego (z kości) zużywają 20% w proporcji do rafinowanego cukru. Znaczniejszą część opału sprowadzają z Górnego Szlązka, w postaci węgla kamiennego. System Walkhoffa wyciskania soku zdaje się najbardziej upowszechniony w zakładach polskich, gdyż tylko w Hermanowie używają systemu dyferencyjnego Roberta. Najwięcej stosunkowo rafinerji przypada na powiat kutnoski, w gub. warszawskiej.

Zdaje mi się, że o ile inne zajęcia i walka o byt codzienny pozwalały, wywiązałem się z zadania, by w krótkości przedstawić czytelnikom okazy żywności obchodzące w Fairmont parku. Wiem że chęci me lepszymi były od zdolności, że nie mnie się porywać na pracę wymagającą specjalnego wykształcenia. Wolałbym piąć się na góry i opisywać ich grozę, tułać się po lasach i stepach i malować ich tajniki, żyć z ludźmi innej mowy i cery i bając o ich śmiesznych stronach, niż powtórnie zwiędzać jakakolwiek powszechną wystawę, w charakterze sprawozdawcy. Gdy jednak los cisnął mnie w sam czas do Filadelfii, więc jak umiałem, opisałem com widział, spełniając podjęty obowiązek i ufając pobłażliwości rodaków.

Daj Boże, bym stokroć liczniejszy i świetniejszy zbiór oglądał w Paryżu. Pracujmy ku temu młotem, pługiem i piórem, czynem i zachętą, bo słusznie powiedział Longfellow:

Nothing useless is, or low;
Each thing in its place is best,
And what seems but idle show
Strengthens and supports the rest.

(Niczego nie uważaj za zbyteczne, niczem nie pogardzaj. Każda rzecz wczas spełniona jest użyteczną. To co się tylko próżnym widowiskiem zdaje, wzmacnia i wspiera inne dążenia.)

Koniec.

KORESPONDENCA TYGODNIKA ILLUSTRWANEGO.

Poznań, w listopadzie.

Wybory posłów na sejm pruski zajęły wyjątkowo umysły. W ciągu ostatniego miesiąca o niczem innem nie było mowy w pismach peryodycznych, wszystkie zebrania obywatelskie brzmiały dyskusjami, odnoszącymi się do tego przedmiotu, tak wielkiej wagi dla kraju i stosunków naszych. W nowoobranj reprezentacji sejmowej spotykamy się z nazwiskami, dobrze znanymi na arenie zapasów parlamentarnych. Nowym nabytkiem dla frakcji polskiej jest dr. Franciszek Chłapowski, poseł odolanowski, który dał się już poznać szerszej publiczności niezmordowaną swą czynnością wśród ludu naszego, mianowicie na Szlązku. Wybory do parlamentu zapewne dopiero w początkach przyszłego roku nastąpią. Tymczasem podniesiono tutaj myśl udowodnienia wdzięczności całej prowincji posłom, którzy ją tak dzielnie reprezentowali w czasie ostatniego trzylecia, i oto, oprócz medalu wybitego na ich cześć ze składek ogólnych, slyszymy o przysposobionem wydaniu „Albumu posłów naszych na sejmie pruskim i w parlamencie niemieckim, od r. 1873 do 1876.“ Album to składać się będzie z portretów i życiorysów polskich deputowanych do obu pomienionych ciał prawodawczych. Redakcyi podjął się jeden ze znanych literatów. Zeszyt pierwszy zawierać ma portrety dra Władysława Niegolewskiego i Ignacego Łyskowskiego. Księgarnia Mateckiego w Toruniu obiecuje całość wygotować w ciągu roku przyszłego.

Towarzystwo przyjaciół nauk poznańskie rozpoczęło swe czynności zimowe od posiedzenia wydziału historycznego, na którym odczytano zajmującą rozprawę o Prusach książących po traktacie

oliwskim. Rozprawa ta stanowi wstęp do szerszej pracy, zawierającej wiele ciekawych, a nieznanych lub mało znanych szczegółów. Mianowicie godne zastanowienia są objawy przywiązania ówczesnej niemieckiej ludności, opierającej się wszystkimi siłami oderwaniu od Polski. Obecnie Towarzystwo przyjaciół nauk zajmuje się konkursem dramatycznym, na który już dość sporą nadesłano liczbę utworów.

Powrót naszych artystów z Warszawy ożywił nanowo jednostajne wieczory zimowe w mieście naszym. Najsurowsza nawet krytyka przyznaje znaczny postęp w grze ukształconych inteligencją publiki warszawskiej aktorów. I tutaj *Emigracja chłopska* powszechnie wywołała zajęcie, chociaż stosunki nasze niezupełnie w tak czarnem przedstawiają się świetle. Żyd mniejszej używa przewagi po wsiach wielkopolskich, karczma prawie nigdy nie bywa oddawaną w ręce żydowskie, emigracja zaś do Ameryki coraz mniej kusi nieszczęśliwych, po rozczarowaniu pierwszych ofiar agentów, namawiających do zamorskich wędrówek. Daleko większem u nas niebezpieczeństwem grozi wychodźstwo na robotę do Westfalii, nadreńskich prowincyj, fabryk Kruppa lub kopalń wapna niemieckich. Ojciec rodziny, skuszony obietnicą wysokiej płacy dzienniej, opuszcza dom, żonę i dzieci zostawiając literalnie na własnym przemyśle, który kończy się nieraz na kradzieży uorganizowanej. Tymczasem mijają dnie, tygodnie i miesiące: wychodziec samotny, niemający nikogo, co by mu ciepłą ugotował strawę, żyje chlebem i wódką. Wódka coraz znaczniejszą przybiera rolę w jego codziennem pożywieniu i znaczna część zarobku przechodzi mu w ten sposób przez palce, a raczej przez gardło. Z rozpojenia płynie rozprężenie obyczajów, zapomnienie przykazań Boskich, a nawet własnego języka. Po kilku latach taki wędrowiec wraca do domu rozпиты, schorowany, z naleciałościami szkodliwymi, które nawskróś przetwarzają poczciwą z gruntu naturę polskiego włościanina. Zapewne, bywają wyjątki; są ludzie którzy po pewnym czasie wracają nieskażeni, z zapasem ciężko zapracowanego grosza. Ogół jednak wiele na podobnych wędrówkach traci, a co więcej, przynosi i przenosi na grunt ojczysty pierwsze zasiewy mrzonek socjalistycznych, tak obcych dotąd naszym stosunkom i wyobrażeniom. A jednak trudno się dziwić owym biédakom, którzy nadzieją polepszenia losu nęci za Berlin, albo raczej *w świat*, jak zwykli chłopci u nas nazywać podobne dalekie za robotą wyprawy. Biéda ogólna nietylko wyższymi dokucza klasom; niższe warstwy społeczeństwa odczuwają także dotkliwie powszechną materialną kryzys. W Poznaniu gotuje się zima wyjątkowo ciężka; o zarobek trudno, nędzą puka do okien i w oczy biédniejszym zagłada. Towarzystwa dobroczynne wszelkich dokładają starań, aby zapobiedz złemu; atoli środki niezawsze idą w parze z miłosierdziem i dobrą wolą.

Pisząc do was wkrótce po dniu Zadusznym, czuję że smutne myśli same z siebie wysnuwają mi się w głowie, i ta nieopisana żaloba, która zwykła towarzyszyć pamiątkowej zmarłych uroczystości, mimowoli list mój przenika i serce ogarnia. Nikt też się temu uczuciu nie dziwi, bo któż nie ma na ementarzu jakiej ukochanej mogiły, kto w dniu tym nie wraca w przeszłość, nie szuka w niej miłych sercu a znikniętych postaci? Inaszemu księztwu rok upływający niejedną przyniósł żalobę; trudno myśla ogarnąć wszystkie straty, poniesione przez społeczeństwo wielkopolskie w ostatnich czasach. Uderzającą mianowicie jest niezwykła śmiertelność w szeregach duchowieństwa naszego, tém większą sprawiająca próżnię, iż nieuregulowanie stosunków kościoła z państwem i zakłanianie płynące z kulturkampfu nie pozwalają obsadzać nanowo osieroconych parafij. Straciłszy również w ostatnich czasach dwie marsowe postacie weteranów naszych, Edwarda hr. Potworowskiego, o którym szerszą wam podałem wiadomość, i pułkownika Wincentego Skarżyńskiego, który w Hiszpanii zaszczytnie dzielność naszą przedstawiał. Bolesne także wywarł tu wrażenie zgon przedwczesny kilku młodych kobiet, zmarłych

w pełni życia i szczęścia. Najprzód zgasła w kwiecie wieku i wdzięków Zdzisława z hr. Miączyńskich Morawska, która, aczkolwiek zamieszkała na pograniczu królestwa polskiego, należała do księstwa stosunkami rodzinnymi. Po niej odprowadziliśmy na miejsce ostatniego spoczynku dwie córki znamienitych naszych lekarzy, Freudenreicha i Kaczorowskiego. Ta ostatnia przed rokiem dopiero została była małżonką poety Asnyka (El...y'ego), w którego żalobie kraj cały serdeczny bierze udział.

Nie zanosi się też w Poznaniu na zimę głośnie i ożywioną. Przeciwnie, ubywa nawet domów przyjemniejszych i salon po salonie się zamyka. Wielka to strata dla naszego społeczeństwa, dla naszej zwłaszcza młodzieży, której tym sposobem zbywa zupełnie na ognisku życia towarzyskiego i sposobności nabycia koniecznej oglady. Brak salonów wędza ją do cukierni i klubów, a zakosztowawszy raz życia, nieujętego w karby wymagań towarzyskich, niechętnie potem do szlachetniejszych powraca rozrywek. Wielkie ztąd płyną szkody dla całego społeczeństwa, a jednak trudno się dziwić odosobnieniu, w jakim się zamykają pojedyncze rodzinne koła, zważywszy powody materyjalne, które zmuszają każdego niemal do najściślejszej oszczędności.

Mimo tych niekorzystnych warunków, Poznań, jako miasto, podnosi się i rośnie. Obwód forteczny nie dozwala wprawdzie na rozszerzenie się zewnętrzne naszej stolicy; lecz zato wewnątrz przybywa nam coraz więcej pięknych gmachów, a nawet i ulic nowych. W liczbie pierwszych zapisujemy tu niedawno zbudowany teatr polski, muzeum Towarzystwa przyjaciół nauk, piękny gmach sądowy, a wreszcie więzienie na Wilhelmowskiej ulicy, tudzież znaczną liczbę ozdobnych kamienic. Niedawno powstała tu piękna Bismarkowska ulica, a teraz słyhać znów o nową ulicę Kopernika, którą ma przyozdobić pomnik wielkiego naszego astronoma, z popiersiem wykonanym przez p. Maryana Jaroczyńskiego, władającego naprzemian pensją i dłużem. Nazewnątrz Poznań otacza się wieńcem fortów, zbudowanych na wzór paryskich *forts détachés*, które, zdaniem wojskowych techników, stoją o wiele wyżej od murów okólnych. Centralny dworzec ma wkrótce połączyć w jedno ognisko wszystkie linie kolei żelaznych, które się w Poznaniu schodzą. Tutaj też głównie życie i ruch się skupiają; w mieście zato samem panuje cisza, która przeważnie zalega nasze ulice i place, nadając dawniej Przemysławów stolicy jakąś cechę posepną.

OGRODY ZOOLOGICZNE EUROPY.

Przez
dra fil. Jana Bauzera.

(Dokończenie.)

Ogród ten obecnie, dla znającego go z przed lat kilkunastu, jest zupełnie nie do poznania. Znany obszar jego, 86 morgów wynoszący, zamieszkały jest przez tak znaczną liczbę zwierząt, że prócz londyńskiego ogrodu, żaden inny w tym względzie z pewnością mu nie przoduje, a w miejscach nieodpowiednich dawnych budynków, nowy dyrektor powznosił kilka prawdziwych pałaców, gustowne i wspaniałe, chociaż nieco zadrogię, gdyż jeden tylko budynek n. p. dla gruboskórych, kosztował 50,000 talarów. Pomimo przecież, że Towarzystwo akcyjne, własnego kapitału posiadając tylko 100,000 talarów, od zaciągniętej na to rozszerzenie i upiększenie ogrodu pożyczki w summie ogólnej 400,000 talarów procenta i amortyzacją płacić musi, napływ zwiedzających, wskutek tych wspaniałych prawdziwie, choć w znacznej części zbytecznych nakładów tak jest znaczny, że jak mnie ustnie objaśnił dyrektor Bodinus, akcyonariusze jeszcze dobre interesa robią. Cena wejścia obecnie wynosi 1 markę (30 kop.) od osoby, a w piękne dni letnie ogród mięwa do 3000 marek dziennie dochodu.

Drugi zoologiczny ogród w Niemczech otwarty został we Frankfurcie nad Menem w r. 1858, przez tameczne Towarzystwo zoologiczne, na gruncie w tym celu na 10 lat wydzierżawionym, który przecież, przy prędkim rozwoju tej wzorowej instytucji, zbyt małym wkrótce się okazał. Bezwzględnie po założeniu ogrodu, Towarzystwo zoologiczne frankfurkie wydawać poczęło miesięczne czasopismo naukowe: „Ogród zoologiczny“, zrazu pod redakcją dra Weinlanda, później dra Brucka, a obecnie dra Nolla. Przez wydawnictwo to, w którym składane są corocznie sprawozdania z doświadczeń naukowych tak frankfurckiego, jak wszystkich innych ogrodów zoologicznych niemieckich i wielu ościennych, ogród frankfurcki niezmiernie położył zasługi i zdobył sobie przewodnicze stanowisko pośród innych.

Po wojnie francuskiej nowoutworzony komitet, który zebrał akcjami 205,000 złr., założył „Nowe Towarzystwo zoologiczne“, z kapitałem zbiorowym 500,000 złr., skupił dawne Towarzystwo, z jego pasywami i aktywami, i zajął się nadobrem urządzeniem nowego ogrodu, na przeznaczonym ku temu polu pod miastem.

Dnia 3-go marca 1873 r. przystąpiono do pracy, a w niespełna rok później puste dotąd pole, właściwie zabudowane, zielonością i wodą ozdobione, zdołało już pomieścić cały skład mieszkańców dawnego ogrodu. Piękne to dzieło zasługuje na szczególną uwagę, raz że jest najnowszym ze wszystkich, a zatem wedle najdokładniejszych, teraz już licznych, doświadczeń naukowych przeprowadzonym, powtóre zaś, że całe założenie nie trwało dłużej nad jeden rok. Gustowny ten i wedle wszelkich wymagań nauki urządzone ogród zoologiczny przedstawia à vol d'oiseau załączona tu rycina.

Za przykładem Frankfurtu, w roku 1860 poszła Kolonia. Przeznaczony ku temu grunt musiał być dopiero na ogród zamieniony. Czynne przecież zajęcie się nim pierwotnego dyrektora dra Bodinusa, w r. 1868 do Berlina ztąd powołanego, i znaczny kapitał, bo 150,000 talarów wynoszący, jakim rozrządzano, dozwoliły go właściwie rozszerzyć i zabudować i dziś, pod wielu względami, uważanym być może za zakład wzorowy.

Na szczególną wzmiankę, jako dowód co wytrwale zamiłowanie przedmiotu, mimo ograniczonych środków, wytworzyć zdoła, zasługuje jeden z dwóch w małym Stuttgarcie istniejących aż do r. 1871 zbiorów zwierząt—zbiór restauratora Wernera. Niezmordowany ten pracownik, nabywszy w r. 1840 niedźwiedzie i za lichem ogrodzeniem pokazując ją za tanię piędzde, przez lat dwadzieścia kilka zebrał tą drogą wcale okazały zbiór zwierząt, między którymi były nawet lwy i lamparty, i dopiero w ostatnich latach, gdy z inicjatywy króla wirtemburskiego założony został drugi systematyczny ogród zoologiczny w Stuttgarcie, zbiór swój podobno temuż odstąpił.

W 1861 r. otwarty został ogród zoologiczny w Dreźnie. Wytworzył on się z istniejącego od r. 1769 zwierzyńca Towarzystwa dla hodowli kur. W tym celu komitetowi nadaną została część królewskiego parku, zwanego „Wielkim ogrodem“ pod warunkiem, że sąsiadujące z nią pola przez Towarzystwo nabyte będą, a bujny drzewostan parku pozostanie nienaruszonym. Przy dalszym rozwoju ogrodu, zwierzęta, dla braku słońca i światła wśród gęstych drzew zrazu cierpiące, pomieszczone zostały w budynkach na dokupionej, bezleśnej niegdyś części ogrodu, gustownie wśród założonych klombów, drzew i trawników wzniesionych. Ogród ten, obejmujący 36 morgów przestrzeni, kosztował dotąd ogółem 250,000 talarów; ale też zato, pomimo iż Drezno z pewnością jest miastem najbogatszym w Niemczech w inne szacowne zbiory naukowe i artystyczne, żaden przejezdny nie zaniedba obejrzeć tego prawdziwie miłego przybytku nauki. Kwitnący stan swój ogród drezdeński zawdzięcza niezmordowanej pracy dyrektora Schöpfa. Oprowadzany przezeń po całym zakładzie jego pieczy powierzonym i objaśniany jaknajuprzejmiej we wszel-

kich szczegółach, które poznać chciałem, miałem sposobność się przekonać, że zwierzęta jego pieczy powierzone traktuje on jak dzieci własne. Na głos jego każde zwierzę, zawołane po imieniu lub przydomku mu nadanym, przychodziło do kraty, nadstawiając kark pieszczocie swego opiekuna, począwszy od gburowatych niedźwiedzi, aż do lekliwych jeleni i uciężnego szympansa, jedynego w Europie, tak długo zdrowo chowanego. Wyraził mi też szanowny dyrektor zdanie, które tu zanotować ośmielam się, że niema dzikiego zwierzęcia na świecie, któregooby, przez łagodne i właściwe z niem obchodzenie się, ugłaskać nie można; oraz drugie, z czterdziestoletniej praktyki poczerpnięte, że każde bez wyjątku zwierzę, we właściwych warunkach hodowane, uchować można od przedwczesnej śmierci. Stwierdza to znaczny dochówek coroczny wszelakiego rodzaju zwierząt na korzyść ogrodu spięniętanych, a przedewszystkiem wychowywanie do lat sześciu szympansa, podczas gdy ten gatunek małpy, do innych ogrodów Europy sprowadzany, zazwyczaj dłużej nad pół roku nie przeżywa, padając ofiarą choroby tuberkulów na płucach i wątrobie (*). Ogród drezdeński posiadał z końcem marca 1874 roku 222 zwierzęta ssące, 691 ptaków i 35 gadów, wartości 35,670 talarów, a budynki na pomieszczenie zwierząt w nim się znajdujące, lubo nie z takim przepychem jak berlińskie wystawione, odznaczają się przecież gustem i wygodą. Od tego czasu w nowozaciągniętej pożyczce znalazłszy środki nowe, ogród wieloma ciekawymi nabytkami się powiększył i wznosił kilka nowych budynków, a nadto przeprowadził komunikację z oddalonemi nieco wodociągami miejskimi, aby znajdujące się w nim zwierzęta nigdy braku świeżej wody nie cierpiały. Cena wejścia obecnie jest ustanowioną na 75 fenigów (22½ kop.), a dochód za wejście w r. 1873 i 4 wynosił przeszło 33,000 talarów.

Zoologiczny ogród w Hamburgu otwarty został 16 maja 1863 r., po trzyletniej poprzedniej działalności tymczasowego, w tym celu zawiązanego komitetu, pod prezydencją barona Mercka. Jakkolwiek przygotowania były tu długie, uwięził je przecież jaknajpomyślniejszy skutek, kapitału bowiem akcyjnego zebrano 300,000 talarów, a na obszernej, bo 50-cio morgowej przestrzeni, założono ogród zwierzęcy. Żywe współczucie, jakie instytucja ta od razu w ludności miasta obudziła, tak iż liczba zwiedzających w jednym dniu przenosiła 38,000 osób, a także nadmorskie położenie, ułatwiające dowóz zamorskich zwierząt, od razu ogród ten między najznaczniejszemi w Europie postawiły. Kosztowne akwarium, jakie w nim założone zostało, jest jedną z jego wielkich ozdób i bodaj najpiękniejszym w Niemczech.

W Monachium usiłowano naprózno zawiązać towarzystwo akcyjne, dla założenia ogrodu zoologicznego. Wówczas kupiec Benedict powziął zamiar odważny dokonania tego własnymi środkami, co zwykle zbiorowemi siłami powstaje. W lipcu 1863 r. otworzono ten ogród na 15-to morgowej przestrzeni, a dr. Filtzinger powołany został na jego naukowego kierownika.

Pomysł założenia ogrodu zoologicznego w Hanowerze wyszedł od tamtejszego Towarzystwa przyrodników. Przez miasto w tym celu udzielony kawał gruntu odznacza się zdrowym swym położeniem, jakoteż bujnym drzewostanem. Oprócz przez akcje, można brać udział w towarzystwie przez podpisanie się na roczną składkę, na przeciąg lat pięciu i więcej. Ogród ten otwarty został 4 kwietnia 1865 r. Szkoda tylko że w skutek nieco zbyt szczupłego miejsca, bo tylko 12 morgów wynoszącego, budynki nazbyt tu są skupione. Kapitał akcyjny ogrodu tego wynosi 50,000 talarów.

(*) Po oddaniu już do druku niniejszego artykułu dowiedzieliśmy się że owa szympanśica, ulubieniec publiki drezdeńskiej, nagle zdechła. Przedtem zaś stała się powodem uczzonego sporu, który z rządu szympanśów podniósł ją do rodzaju pół-goryla (*Antropopithecus Tschego-Brehm.*), na który to rodzaj małp zdaje się że jeszcze polskiego nazwiska nie mamy.
(Przyp. autora.)

W dniu 10 lipca 1865 r. otwarty został ogród zoologiczny we Wrocławiu, z rozwiniętych systematycznie najbliższy granic naszych, a od początku samego oddany pod kierownictwo dra Franciszka Schlegla, zasłużonego pracownika i autora na tém polu, z którego prac znaczną część tu podanych szczegółów czerpiemy. Przez ciąg zaledwie lat dziesięciu, dosięgł on już znaczenia prawdziwie pożytecznego dla nauki zakładu. Dla założenia ogrodu tego towarzystwu akcyjnemu, na dniu 27 września 1864 roku notaryalnie zawiązanemu, na cały czas istnienia nadany został miejski kawał gruntu, około 30 morgów rozległy, a leżący w dosyć od miasta oddalonym kącie, między Odram a bocznym jej ramieniem, starą Odram zwaną. Do tego kawałka ziemi dokupiono inną własność sąsiednią, aby z dwóch stron miasta łatwy przystęp do ogrodu wytworzyć. Grunt przez miasto towarzystwu nadany dał się dostatecznie i dosyć łatwo z Odry, zapomocą przeprowadzenia rur, zaopatrzyć w wodę i odpływ jej do Stariej Odry urządzone bez wielkich trudności; lecz przemienienie gołej płaszczyzny piaszczystej na park kosztowało przeszło 15,000 talarów. Dziś, chodząc po tym wytwornym parku, o poważnych już drzewach, w całej długości przerniętym gustomnemi basenami wodnemi, przypuścić nieomal trudno, że przed dziesięciu laty była to pustka na piasku. Później od sąsiedniej posiadłości dokupiono pięknymi drzewami porosły kawałek gruntu.

Kapitał, zebrany przez akcyje po 50 talarów, przy rozpoczęciu działania wynosił tylko 30,000 talarów, i teraz dopiero, po dziesięcioletnim istnieniu ogrodu, doszedł do wysokości 70,400 talarów. Jako cenę wejścia od nieuczestników spółki z razu pobierano 5 érbr. gr. (t. j. 15 kop.) od dorosłego, a 2 i pół érbr. gr. (t. j. 7 i pół kop. od dziecka niżej lat dziesięciu. Dochody za bilety wejścia, które w żadnym roku pierwszego peryodu lat 1865—1870 nie dosięgały pełnych 8000 talarów, w r. 1871 wzrosły do 10,600 talarów, w r. 1872 do 15,000 talarów, w r. 1873 do 17,000 tal., a w r. 1874 wynosiły 18,000 tal. W pierwszych sześciu latach liczba płacących wejście gości wynosiła około 70,000 rocznie; w zeszłym roku zwiędziło ogród za biletami 154,000 osób.

Gospodarstwo zwierzęce przedstawia cyfry następujące: na zakup zwierząt po koniec roku 1874 wydano 21,000 talarów, wartość zaś w darze ogrodomi ofiarowanych okazów wynosi 17,000 talarów; dary te głównie wpłynęły w ciągu dwóch lat przedostatnich, gdy niektórzy zamożni zwolennicy zoologicznego ogrodu zawiązali się w komitet, aby drogą loteryi dostarczyć brakujących pieniędzy na zakup rzadszych zwierząt. Tym sposobem ogród z bogactwem się parą strusi afrykańskich, zebrał, trzema bengalskimi tygrysami i słoniem. Słoń przedewszystkiem wywarł tak wielką siłę przyciągającą, że dochody za wejście wkrótce powiększyły się o całą wartość zwierzęcia tego.

Wartość zwierzętobioru ogrodu wrocławskiego wynosiła w roku 1865 około 6,500 tal., obecnie zaś dosięga 25,700 tal. Terazniejszy skład zbioru wykazuje: 269 zwierząt ssących, 416 ptaków i 5 gadów. Straty przez śmierć średnio wynosiły 9% wartości, a w niektórych latach tylko 7%, 6%, a nawet 4%; później znowu 12%, w jednym zaś roku nawet 13%, w skutek wypadków zapalenia śledziony i nosacizny. Ogólny przeciętne rezultat jest bardzo dla ogrodu wrocławskiego pomyślny, gdyż przecięciowo zakłady tego rodzaju miękają po 12% straty rocznie.

Koszta żywienia w r. 1865 wynosiły tylko 2326 tal.; w r. 1870 dosięgły dwa razy wyższej cyfry; w r. 1873 urosły do 7500 tal., a w zeszłym roku wynosiły 8871 talarów.

Rozpisałem się szczegółowiej, niżeli o innych, o ogrodzie wrocławskim i bliższe o nim zebrałem wiadomości umyślnie z tego powodu, że jest on najpiękniejszym i najsystematyczniej prowadzonym zakładem tego rodzaju z tych, które rozporządzają tylko skromnemi, stu tysięcy talarów nieprzechodzącymi środkami; a dalej że położe-

nie geograficzne Wrocławia najbardziej do granic naszych jest zbliżone i że tak co do ilości mieszkańców (w czasie założenia ogrodu tylko 2/3 ludności Warszawy), jak i co do ilości przejezdnych dłużej tam się zatrzymujących, podobne, choć o wiele mniej korzystne od naszego grodu warunki przedstawia. Powodzenie zatem instytucji tej we Wrocławiu pewność prawie daje, że zakład podobny, ku naukowemu użytkowi narodu naszego, a ku chlubie, ozdobie i przyjemności miasta, w Warszawie założonym być może.

Po otwarciu ogrodu zoologicznego wrocławskiego, założono jeszcze kilka ogrodów podobnych: w Bazylei, Monasterze, Zurychu i Karlsruhe, w bieżącym zaś roku początek instytucji podobnej nawet w małym Poznaniu, a także w Peszcie i Moskwie. O pierwszych brak nam bliższych wiadomości, podobnie jak i o tego rodzaju ogrodach w Lyonie, Marsylii, Madrycie, Xeres, Florencyi, Palermo i Kopenhadze; lecz co się tyczy ogrodów peszteńskiego i moskiewskiego, wiemy od specjalistów (dra Bodinusa i dra Schlegla) tyle, że oba dotąd, czy to źle prowadzone, czy też zbyt małą sympatją publiczności miejscowej poparte, nie rozwinęły się należycie i z tego powodu, dla dobra nauki, założenie podobnego obserwatorium zoologicznego u nas gorąco jest pożądanem, jak mi to oświadczaży wszystkie uczeni dyrektorowie ogrodów zoologicznych, z którymi w tym względzie rozmawiałem za granicą.

Kronika zagraniczna,

przez

J. I. Kraszewskiego.

Ruch wyborczy w Niemczech.—Inaczej we Włoszech.—Panegiryk dla ks. kanclerza.—Uspokojenie pokojowe.—Stagnacja.—Renana: *Rozmowy filozoficzne*.—Daudet'a: *Fromont młodszy i Risler starszy*.—Eckmanna-Chatriona: *Przyjaciel Fritz*.—Ouida: *Miasto zimowe*.—Tarchetti.—Jego powieści.—Zbyt późne uznanie.—Paolina.—De Amicis: *Carmela*.—Bezimiennego: *Ultimo boia di Firenze*.—Guezzone.—Barattani.—Dzieła naukowe.—Sprzedaż uliczna książek i dzienników.—Nałóg czytania.—Oświata i moralność.

Po pięciu tygodniach niebytności wracając do Niemiec, zastajemy je w tém położeniu, w jakimśmy je opuścili. Nic się tu nie zmieniło, ani wyczekująca polityka księcia Bismarcka, ani nadzieje narodowo-liberalnych, ani zabiegi postępów, ani ciche intrygi zachowawczo-agrarnego stronnictwa. Ruch wyborczy, na pozór dosyć żywy, do urn nie sprowadził jednak ani części uprawnionych do głosowania. Dowódcy partij musieli zapraszać, namawiać, zaklinać zubożniałych do spełnienia tego obywatelskiego obowiązku. Uskarżają się na to wszędzie. Czego to jest znamieniem? czy małego politycznego wykształcenia kraju, czy poprzestania na tém co jest, czy opieszałości i lenistwa, będących we krwi?.. tego rozwiązać nie umiemy.

Wracającemu z Włoch silnie się daje czuć tą różnicą usposobień dwu krajów i różny stopień ich cywilizacji. Tam, na sam odgłos o nowych wyborach, powstało z górą czterysta dzienników, mających na celu wyłącznie przygotowanie opinii publicznej; tam każdy wyrobnik zrna, z ciężko zapracowanego grosza, poświęca chętnie pięć centów na gazetkę, którą przeczytać musi; tam... (powtarzamy to nastając) niema piwa i piwiarni, które ruinują i ogłupiają. Życie też wogóle rozwija się inaczej zupełnie, w formach odmiennych, ze swobodą i powagą tu nieznaną. Na granicy pierwszy w rękę wzięty dziennik niemiecki znowu nas wprowadził w to żelazne koło sztywnego, mechanicznego życia, wśród którego stać musimy smutnym widzem, obcą częścią. Gdyśmy wyjeżdżali, Bismarck milczał; nie przerwał milczenia i teraz.

W jednym z ostatnich dzienników czytamy:

„Od czasów Napoleona I nigdy żaden mąż stanu potęgą większą nie był obdarzony nad Bismarcka. Dosyć było jednego słowa jego (!), aby stanowiło o pokoju lub wojnie. Dlaczegoż milczy? Czemu się nie odzywa?—Tak mówią dzienniki, a my sądzymy, że ks. kanclerz ma słu-

szne powody dla zachowania tak upartego milczenia.

„Niemcy nie będą się mieszały do wojny, miał się odezwać pustelnik z Warzina—dopóki się do niej ktoś trzeci, obcy nie wmixsa.“

Różne pogłoski krążą tu o intencjach wielkiego męża stanu, ale opinia publiczna głośno się odzywa za pokojem. Czuje nowozjednoczona Germania, że wojna dla niej nietylko by za sobą wielkie pociągnęła ofiary, ale zatamowałaby dalsze rozwinięcie nieuchronnie potrzebnych reform wewnętrznych.

Uspokojenie jest pokojowe, ale sam postrach wojny tak oddziaływa na giełdy, na przemysł, przedsiębiorstwa, handel, że nigdy—oddawna—nie pomną stagnacyi tak wielkiej, takiego zwątpienia i opuszczenia rąk, jak dzisiaj... Po niesłychanym porywie spekulacji, asocjacji, przedsiębiorstw z roku 1872, po doznanych zawodach—nastąpił marazm, którego końca nie widać... Kogo tu obwiniać?

Są prawa bytu, są przyczyny, które nieuchronnie ciągnąć za sobą muszą te, a nie inne skutki. Kto sieje wiatr, zbiera burzę, mówi przysłowie.

Słowo o tych prawach mimowolnie nam na myśl przywiodło ciekawą zaprawdę nową książkę Renana, jego *Rozmowy filozoficzne*, które nam przez część podróży naszej towarzyszyły. Jakkolwiek ani punkt wyjścia autora, ani wnioski z premisów wyciągnięte nie zadowolą wielu umysłów, chociaż sam autor nie daje swęj książki za nic więcej nad marzenie i hipotezy—rozmowy te zajmujące są wielce i wiedzą niekiedy tak daleko po za światy i po za wieki, iż je przeczytać warto i snem tym prześnić chwilę. Co najbardziej uderza w przekonaniach autora, to jego stanowcze odpięcie idei demokratycznej, jako zasady społecznej. Nie wierzy on w masę, w ich postępowe wykształcenie, w ich przeznaczenie cywilizacyjne; wszystko przyznaje wyborowym jednostkom, geniuszom niewielu, przodownikom samym. Natomiast naukowy postęp, osiągnięty i mogący się zdobyć w przyszłości, Renan wysoko ocenia i na nim buduje nowe światy. A światy to są, które nie ustępują ekscentryczną fizyognomią swą nawet fantazyom Verne'a i t. p. Ludzkość ma przyjść do opalania się słońcem, do żywienia powietrzem, do zabijania wzrokiem. Forma dialogowa w książce Renana, jak w sokratycznych rozmowach, nie posługuje mu do rozwinięcia idei; niema tu ściągania się zdań i wywoływania ich wątpliwościami; są to proste pytania i odpowiedzi. Ale styl piękny, wykład spokojny, chłodny, wytworny niekiedy, i czyta się to—jak powieść Daudet'a lub Ouidy.

Ani się też waham od tej filozofii fantastycznej przejść do p. A. Daudet, którego ostatnia powieść, uwieńczona przez akademią „*Fromont młodszy i Risler starszy*“ w krótkim czasie (*si fabula*, na okładce, *vera*) doczekał się wydań dwudziestu kilku. W Paryżu miała ona powodzenie nadzwyczajne. Daudet już nam był wprzódki znanym z obrazka obyczajów paryżkich p. t. *Jack*. Fromont z Jack'em ma wiele familijnego rysów podobieństwa. *Mutatis mutandis*, w matce Jack'a jest coś zony Rislera. Ale postęp w pisarzu, jako artysty, znaczny bardzo. Wyżej nierównie jako powieść stoi ostatnia nad pierwszą. Fromont i Risler dają nam bardzo rzeczywiste, a nierazące szczegółami obrzydliwemi często, jak u Zoli, obrazy żywota tego Paryża, który tyle ofiar pożera. Przedziwnie pojęty, skręślony i przeprowadzony jest charakter głównej bohaterki Sydonii i tego w prostocie swęj i prawości niezrównanego Rislera. Jak w Jack'u, tak i w tej powieści, ofiarą kobiety padają ci, których los z nią powiązał. Lecz matka Jack'a, to istota słaba, płocha lekkomyślna, gdy Sydonia, Paryżanka z krwi i kości, jest przewrotną, złą, niemilosierną i bez serca. Wszystkie postacie wchodzące do opowiadania wybornie scharakteryzowane.

W chwili gdy to piszę, wpada mi w rękę numer jednego z dzienników warszawskich i w odcinku znajduję Fromonta. Wstrzymuję się więc od dalszego sprawozdania, gdyż powieść ta wkrótce u nas będzie znaną.

Obok niej leży w podróży mojej sakwie miły, prześlizgnięty „Przyjaciel Fritz“ Erekmana-Chatrjana. Na ten raz chcieliśmy się trochę ochłodzić francuską literaturą, po długim wyłącznie karmieniu się niemiecką. Któż i u nas nie zna tej dziwnej spółki dwóch imion i dwóch talentów, która tak wdzięcznie wydała obrazki, z taką prostotą i artystyzmem zarazem stworzone? Jak w nazwisku autorów przeważa niemiecki, pierwiastek, tak w fizyonomii pisarza Erekmana-Chatrjana jest coś, łączącego w sobie germańską z galijską naturą. Przypomina to niektóre niemieckie oszajcarskie powieści, a zarazem ma i coś francuskiego w sobie. Ten hybrid dwuplemienny, jak wiele krzyżowanych z sobą rodzajów kwiatów, wydał owoc prześlizgnięty. Drugiego Erekmana-Chatrjana nie ma literatura francuska, któryby mu prostotą i humorem dorównał.

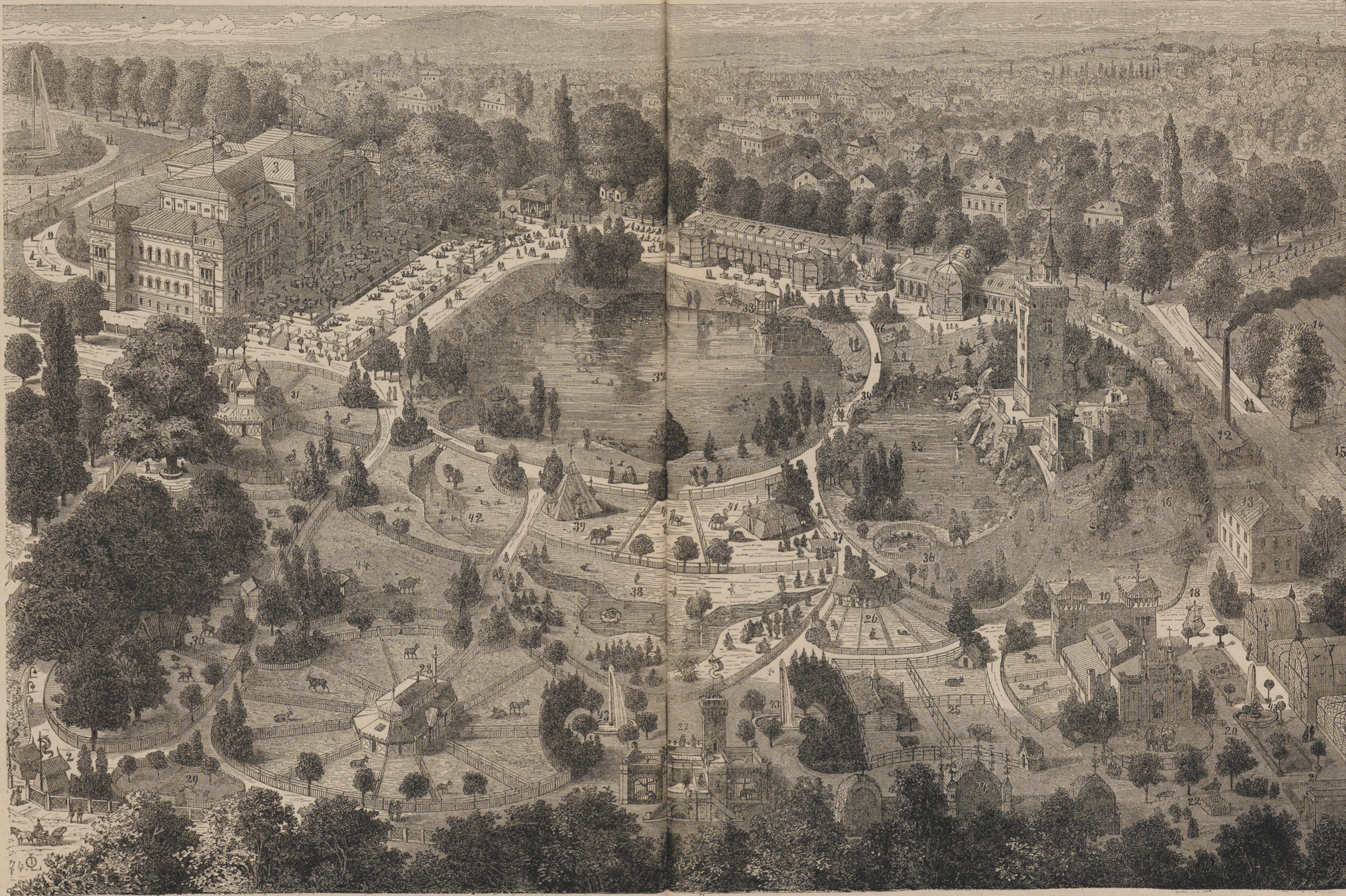
„Przyjaciel Fritz“ jest to mniej niż powieść, prosty obrazek tylko, ale wymalowany, jakby go Meissonier sam własnoręcznie wykończył. Przyjaciel Fritz, stary kawaler majątny, poczciwa dusza, człek serdeczny, ma tylko tę wadę, że siebie i swój miły spokój kocha nadewszystko. Dlatego też nie myśli się żenić wcale. Dom ma urządony jak zegarek; stara, poczciwa gospodyni gotuje mu jeść i posługuje, jak nie można lepiej. Ma kilku przyjaciół dobrych, z którymi lubi zjadać smaczne obiady i chodzić na piwo pod Wielkiego Jelenia na Kapucyńską ulicę. Do serdecznych przyjaciół Fritza Kobusa liczy się, między innymi, stary rabin Dawid Siebel, który go nieustannie męczy ażeby się żenił, swata go ciągle, nudzi, a wkońcu się z nim nawet zakłada, że prędzej czy później Fritz ożenić się musi. Ale Fritzowi to ani w głowie. Śmieje się z ożenienia i z rabina.

Fritz ma pod miastem folwark. W nim mu gospodarzy poczciwy Christel, a Christel ma młodzieńca, śliczności córeczkę, Süzel, która co tydzień nosi panu owoce. Jednego miłego poranku postrzega nagle Fritz po raz pierwszy, że owo dziewczę jest uroczo piękne, wdzięczne, miłe, świeże jak jagódka. Jakim potem sposobem Fritz wynajduje konieczną potrzebę odwiedzenia swego folwarku, zabawienia w nim czas jakiś; jak tęskni za tą Süzel, powróciwszy do miasta; jak chce o niej zapomnieć, a powoli, powoli rozmiłowuje się w prostej dziewczynie. Erekman-Chatrjan opowiada to w swjej powieści, przeprowadzając z niezrównaną naiwnością, wdziękiem i humorem. Pierwszy obiadek przyjacielski u Fritza, pobyt na folwarku w czasie budowania tamy i sadzawki, podróż dla rozerwania się z przyjacielem Haanem przedsięwzięta, kier-

masz w Bischem są rzeczywiście prawdziwymi arcydziełami.

Cała ta powiastka czyta się, jakby się świeży, dojrzały, smaczny, niezaparty od robaka, niewymęczony oranżeryą, nieprzeleżały w koszyku owoc pożywało. Jest to orzeźwiająca, miła, zdro-

Süzel, aż do starego rabina, Haana, Schultza i Kateli. Cygan może zakrawa na fantastyczny dodatek, ale i ten tu nie razi, choć bardzo potrzebnym nie jest, chyba na to, aby o dobrém sercu Fritza nas przekonał, o którym i tak nie wątpliwością.



Nowy ogród zoologiczny we Frankfurcie nad Menem. 1. Zajazd.—2. Kasa.—3. Dom zabaw towarzyskich.—4. Altana dla orkiestry.—5. Bażantarnia.—6. Zameczek zwierząt drapieżnych.—7. Dom małp.—8. Wieża wodociągowa, klatki sów, pod spodem akwaryum.—9. Gemzy i owce.—10. Psy.—11. Maszyna wodociągowa.—12. Dom mieszkalny dyrektora.—13. Gospodarstwo.—14. Zakład ogrodniczy.—15. Wzgórze jaków.—16. Ptaszarnia dla małych ptaków.—17. Wzgórze jaków.—18. Wiewiórki.—19. Słoń i żubry.—20. Jeże.—21. Dzikie.—22. Świnki morskie.—23. Klatki ptaków drapieżnych.—24. Bawoły.—25. Kangury.—26. Zameczek niedźwiedzi.—27. Antylopy.—28. Renny.—29. Jelenie.—30. Strusie.—31. Wielki staw.—32. Miejsce karmienia.—33. Mostek.—34. Staw dla rybożernych.—35. Wydry.—36. Bociany i żurawie.—37. Wielbłąd.—38. Lamy.—39. Dromader.—40. Ptaki wodne.—41. Fontanna.—42. Zebu.—43. Wodospad.—44. Port.

we, flamandzki obrazek dobrego mistrza—nie wiem zresztą do czego to porównać, ale zdaje mi się że nie przesadzam w pochwałę. Wszystkie te postacie to żywi ludzie, nie lalki i typy, ludzie jak ich Bóg stworzył, począwszy od pracowitej

Starając się o jaki taki posiłek w podróży, trafiliśmy jeszcze w księgarni na jeden tomik Ouidy —tajemniczy ten pseudonym kogo pod swą osłoną ukrywa—Bóg wiedzieć raczy... Zagadką jest, czy książka która się razem w Londynie po an-

gielsku drukuje, a w Paryżu po francuzku, bez najmniejszej wzmianki że jest tłumaczoną, owszem, z zastrzeżeniem prawa tłumaczenia, oryginalnie jest pisaną po angielsku, czy po francuzku? Twierdzą że po angielsku... niech i tak będzie, ale ze stylu wnosząc, a nawet z pewnych, supo-

w swoim rodzaju, jako ładniuchna nowela, jest malém arcydziełem. Ale bądźmy sprawiedliwi.. śliczniuchne to, wyrzów z ulicznego zaczerpniętych ścieku, jak u Zoli, niema w wytwornym stylu Ouidy; charakter jednak, sytuacje takie, żeby się ich i Zola nie powstydział. Pani Mila ze swym

delikatnym wycieniowaniem charakterów; ale autor czy autorka (niewieścią w tym czuć rękę) czasem księciu della Rocca zadługo także rozprawić o sztuce i artyznie i weiska tu wiele rzeczy ślicznych, choć, ściśle biorąc, niezupełnie usprawniedliwionych. Pomimo to talent tam znakomity, pod względem stylu, formy, wykonania wyżej stojący od wielu. Opisy okolic Florencyi, zimowych zabaw towarzysztwa wyższego, doskonałe. Czuć w tém kogoś, co nie odgadywał, ale patrzył na tę społeczność, badał ją, żył z nią—i rozumiał a osądził ją nie tylko trafnie, ale z surowością moralisty..

Nie wyczerpalimy jeszcze naszej torby podróży, na której dnie leżą i włoskie nowości, ale będąż one u nas kogo zajmowały? Kto u nas zna imiona choćby mnogich włoskich romansopisarzy: O. Grandi (Borelli) L. Vivarelli, Guezoni, Barattani, Tarchetti?.. Ostatni, Igeni Ugo Tarchetti, zmarły przed kilką miesiącami, do czekał się dopiero po zgonie uznania niepospolitego talentu swojego. Zostały po nim trzy tylko powieści; *Paolina*, *Fosca* i *Drammi della vita militare*. Czwartą pisać zacząwszy, ledwie pierwszy rozdział mając skończony, umarł z nędzy, prawie z głodu. Ta śmierć tragiczna zwróciła nań późne współczucie. Uwieńczono go w grobie, imię jego stało się popularnem. Przy nowém wydaniu Paoliny dołączono portret zawezesnie zgasłego bićdaka.

Paolina nie odznacza się bardzo oryginalnością pomysłu, ale w tego rodzaju utworach wszystko zależy od wykonania i szczegółów; z osnowy zaledwie o wartości sędzić można. Bohatérka Paolina, jest młodą robotnicą, szwaczka, której wielka piękność całém wyposażeniem. Luigi, jej kochanek, także robotnik, tokarz jak ona odznacza się prawością i szlachetnością charakteru. Są to dwie postacie jasne. Naprzeciw stoją: stary, rozwiązły, niepoctywy markiz B. i pomocnik jego comte F., obaj odmalowani jak najczarniej, zaczarno może. Przypomina to Rodryga w *Promessi Sposi*, ale tu nieskończenie brudniej odmalowani dwaj trutnie. Nitki na nich pozostawil autor. Wchodzą także do intrygi madame Gioconde, Francuzka, utrzymująca w Medyolanie magazyn mód, gospodyni Paoliny, która niepoctywym intrygom posługuje dla zysku; Eliza, towarzyszyca i przyjaciółka zmarłej matki Paoliny, jedyna o-

nowanego autora czy autorki tyczących się okoliczności, można by utrzymywać przeciwnie. To tylko pewna, że powieści Ouidy są z wielkim talentem pisane. Pełne to elegancyi i niewieściego wdzięku. *Miasto zimowe* (Dans une ville d'hiver)

Maurycym mogłaby wysmienicie umieścić się w Rougonach... Ta ostatnia, jeżeli się nie mylimy, powieść Ouidy szczególnie się odznacza poczuciem artystycznym, wytwornym smakiem w szczegółach,

soba, znająca tajemnicę jej urodzenia, i Minen (w dyalekcie medyolańskim Maryanna) siostra Luigi, rozmarzona wyrobienica, obalamucona nowymi teoriami socyalnymi i t. d. Sztukiem intryg dwóch panów i Giocondy, Luigi, obro-

ca nieszczęśliwej Paoliny, dostaje się do więzienia, a biedne dziewczę, zdradzone, upada. Nie mogąc przeczyć swęj hańbie, Paolina umiera i na łożu śmierci dowiaduje się od Elizy, że markiz jest—jój ojcem... Luigi, uwolniony z więzienia, uniesiony rozpaczą i szalem karnawałowym, wśród którego spotyka się z pogrzebem kochanki, postanawia najprzód zabić markiza; ale po rozmyśle odstępuje od tego zamiaru. Razem z przyjacielelem swym malarzem (fakt historyczny, z rzeczywistości wzięty) idą do Quarto, w okolicy Genui, zaciągają się do tych *mille*, których Garibaldi zabrał z sobą do Sycylii i tam, na placu boju, bohaterką śmiercią giną... Minen (Maryannie) siostrze, dostaje się po bracie—*medaglia del Valore*... Rozpustni starcy i Gioconda... pozostają bezkarni.

Daliśmy na próbę treść tego opowiadania, które ma charakter czysto włoski. W kilku słowach opowiemy jeszcze osnowę *Carmeli*, noweli jednego z najbardziej utalentowanych włoskich młodych pisarzy, de Amicis. Autor ten najczęściej, prawie wyłącznie, za bohaterów obiera sobie oficerów i żołnierzy; tu też oficer, stojący załogą w jakimś małym miasteczku w Sycylii, kocha się w dziewczęce Carmeli. Miłość jest gorącą i wzajemną. Tymczasem pułk otrzymuje rozkaz wymarszu i oficer zmuszony jest opuścić kochankę, która—dostaje obłąkania. Biedne dziewczę w każdym później przybywającym oficerze widzi swego pierwszego kochanka. Śmieją się z niej jedni, drudzy litują, aż nareszcie znajduje się pocięciwy jakiś człek, który wspólnie z lekarzem postanawia uratować nieszczęśliwą, wywołując gwałtowną reakcję. Carmela odzyskuje przytomność, a oficer co ją ocalił, żeni się z nią.

Niech na tém będzie koniec treści. Bezimiennego autora chwalo i czytano cheiwie. „*Ultimo boia di Firenze*” jeszcze nie jest skończoną w dzienniku, który ją ogłasza. Guezzoni, wspomniany wyżej, w tych dniach miał wydać „*Un materialista in campagna*.” Nie wyszła także dotąd przyobiecana humorystyczna powieść Barattani’ego *La storia d’un quanto*. Cóż chcecie? z samego tego spisu, bardzo niepełnego, powziąć już można wyobrażenie, jak wielo się pisze i czyta we Włoszech. Ale o tém za Alпами mało kto wie nawet.

Nie wspominamy o dziełach poważnych, naukowych, na których nie zbywa; sama ta literatura popularna i tłumaczenia, zwłaszcza z francuzkiego, są w nieprzeliczonej mnogości. Na każdej ulicy, przy każdym placu stoi nieochybnie budka, w której się sprzedają dzienniki, a razem książki ilustrowane, popularne, tanie, większe i mniejsze, mające pokup znaczny. Gdy w Niemczech niema całkiem zwyczaju kupowania książek i wszyscy czerpią z czytelni, tu abonamentów podobnych prawie niema. Książki, tanie wprawdzie, kupuje każda rodzina, czytują je wszyscy. Najuboższa przekupka, siedząca przy kupce fig lub kasztanów, zrana pewnie (w Genui) mieć będzie w ręku *Il movimento*, *Caffaro* lub *Kimovimento*, lub gazetę *Del popolo*. Czytanie jest tu potrzebą, nałogiem, koniecznością. Jakie są jego korzyści moralne, tego powiedzieć nie umiemy, ani jaki wpływ przeważa. To pewna, że tam gdzie tego prasowanego papięru najwięcej się sprzedaje—a roznoszą go chłopy, krzycząc po ulicach, stoty—tam fizyognomia najniższych warstw ludu jest spokojną, poważną, a moralność publiczna tak poszanowaną, tak rzeczywiście wielką, że po Niemczech wydaje się częśm nadzwyczajnym. Wszystkie winiarnie pustkami stoją; nawet w niedzielę ledwie kto do nich zajrzy, a częściej wodą z cytryną w budecie pragnienie ugasi. Lud pracowitością obudza uszanowanie. Dodajmy że to o czém piszemy, przez tygodni kilka obserwowaliśmy w mieście portowym, handlowym, gdzie napływ majtków i różnej drużyny mógłby bardzo na obyczaje oddziaływać. Tak nie jest przecie. Zaledwo u wrót *Punto franco* kilku czasem Amerykanów lub Anglików spokój ogólny zawiechrzy na chwilę; lecz wraca natychmiast krzątania powszednia, nieustanna i rzemieślnicy, napół we drzwiach, napół w ulicy, pocą się, nieznużeni, pracując i śpijąc, otoczeni dziećmi, które

biegają i bawią się wesoło. Wszystko to jakby jedną zdaje się tworzyć rodzinę, zgodną, szczęśliwą, aż póki... ostre słowo niebaczne nie wywoła sporu. Włoch jest dobrym, ale... drażnić go nie trzeba. Nie uspokoi się wówczas, aż krew pociecze.

SZEWCKIE DZIECKO,

POWIEŚĆ

przez

Teodora Tomasza Jeża.

(Dalszy ciąg.)

— To prawda—odparł Józef—ale taki zwyczaj: do południa mówi się „dzień dobry,” po południu „dobry wieczór,” pomiędzy porankiem zaś a wieczorem „dobre południe.” Chyba u was Żydów zwyczaj inny...

— Inny, nie inny... I po naszymu tak samo: poranek jest porankiem, wieczór wieczorem, a południe południem.

— Gdybyście jeno koszeru się zrzekli i wieprzowinę jadali, to bylibyście ludźmi takimi samymi jak my...

Ruchla na tę w tonie półzartu wypowiedzianą uwagę głową pokręciła i ironicznie się uśmiechnęła. Ironiczność uśmiechu odnosiła się zapewne do tego, że wyrazy Józefa wydały się jój żartem niewczesnym. Stanom wszelkim w narodzie i klasom w społeczeństwie chodzi nade wszystko o utrzymanie charakteryzujących je różnic. Na dopięcie celu tego wymyślone są rozmaite znaki, cechy, ruchy, gesty i obrzędy. Żydzi stanowią stan i klasę zarazem, w stosunku do ludzkości, i dlatego oburącz trzymają się przepisów, które ich wyróżniają. W cóżby się obrócił naród wybrany, gdyby żywił się tém samym, co narody niewybrane? Ci z Żydów, którzy się z koszerów wyłamują, tracą cechy odrębności i stają się obywatelami zamieszkiwanego przez nich kraju, często bardzo pożytecznymi. Słowa więc Józefa, żartobliwe na pozór, a wistocie wielkiej doniosłości, dotknęły Ruchlę. Uśmiechnęła się i odrzekła:

— Nie do was to panie majster należy. Nie tacy jak wy pisali księgi zakonu.

— To prawda — pochwyił Józef. — To też com powiedział, powiedziałem nie w celu przemawiania tobie... Jédz ty sobie koszerą wolowinę i nie jédz trefnej wieprzowiny, mnie to wszystko jedno.

— Ny, tak to dobrze, Nie zaglądam do garka wam ja, nie zaglądam wy mnie.

— O to nie możesz mieć pretensyi do mnie. Ani do garka twego, ani do izby twojej nie zaglądam.

— Czemu do izby nie?

— Bobym do warstatu drogę nakładał—odrzekł Józef.

— Owa!.. przecie ludzi tyle zagłada i korona im z głów nie spada.

— Są ludzie, co się pokus nie boją i są tacy, co się boją. Ja należę do rodzaju tych ostatnich.

— A pan Kaźmirz?..—zapytała Żydóweczka.

— Co?..

— Do jakiego rodzaju należy on?

— Do tego co ja.

Ruchla cmoknęła i głową z niedowierzaniem pokręciła.

— Myślisz że on do szynku zagłada? — pochwyił Józef głosem zgorznienia.

— Tak myślę... Zajrzał tu—pokazała palcem na drzwi od izby szynkowej.

— Kaźmirz?—zawołał Józef z przyciskiem.

— *Wun* sam.. nie wszedł, a zajrzał tylko, popatrzył i poszedł na waszą stronę.

— Uhm!..—mruknął Józef tonem tryumfu.—Zoczyć musiał ciebie.

Na słowa te Ruchla, która przybrała była ton żartobliwy, pokraśniała naksztakt wiśni. Rumieńce wyskoczyły jój na policzki, powieki spadły nadół, odchrząknęła razy parę i z nateżeniem niejakim następujących słuchała Józefa wyrazów:

— I zatrzymał się... Zatrzymał się nie dla czego innego, zapytywał mnie bowiem o ciebie...

— O mnie?..

— O ciebie. Nie wiedział coś za jedna.

— Czyż *wun* mnie nie widział nigdy?

— Widział, ale.. nie uważał..

— Phi!.. Otóż to mi *puryc* wielki!

— Nie to, ale ażeby widzieć, trzeba koniecznie patrzeć.. Wszak tak?

— *Ny?*...

— Otóż Kazio nie patrzył zapewne. Teraz zaś popatrzył i zobaczył, a zobaczywszy, zdziwił się..

— Czemu?

— Temu żeś tak urosła...

— Cóż on mówił?

— Żeś bardzo piękna.

— *Ny*... a więcej co?—zapytała tonem zadowolenia wewnętrznego.

— Przychodził w interesie wyszukania sobie pomieszkania, taniego i wygodnego.

— Dla niego samego?

— Dla niego. Podjąłem się szukać i muszę natychmiast zabrać się do dzieła, to bowiem samo się nie robi.

— Może się i zrobi samo — odparło dziewczę—a przynajmniej w sposób taki, że szukać niebędziecie potrzebowali.

— A toż jak?

— Tak, że wam nastęcę. Dla pana Kaźmirza potrzeba izby jednej dużej.

— Jaknajwiększej—wtrącił Józef.

— Osobnej, w domu w którym niema ani dzieci, ani fabryki.

— Ani muzykanta, ani śpiewaka.

— Ani muzykanta, ani śpiewaka—ciągnęła dziewczyna—takięj, którejby okna wychodziły na ogród i dawały widok na rzekę, a obrócone były do słońca.

— Takięj akurat!—zawołał Józef.

— *Ny*, to idźcież wprost na Bocianią, pod numer sześćdziesiąty ósmy.

— Ztąd o kroków st, przez podwórza i ogrody?..

— Może byłoby mniej anizeli sto kroków, ale że obchodzić trzeba przez Mazowiecką i Pańską..

— Wiem wiem—pochwyił Józef.

— Otóż to.. Jest tam izba jedna do wynajęcia, tylko że—dodała z wahaniem się niejakim.

— Co?—zapytał Józef.

— Jest do wynajęcia dlatego, że umarł lokator, to może pan Kaźmirz nie zechce po nieboszczyku jój zajmować.

— Toć my wszyscy nie zajmujemy miejsce innych, jeno takie, które po nieboszczykach pozostają. Kazio na to zważać nie będzie.

— Jeżeli tak, to idźcie na Bocianią.

— Nie wiesz kto właścicielem?

— Jakżebym wiedzieć nie miała! Jędrzejowa z pod Fijołka.

— Z pod Fijołka?—rzekł Józef, robiąc minę taką, jakby przypominał coś sobie.

— Garkuchnia na Starym targu. Jędrzejowa od świtu do późnego wieczora pod Fijołkiem siedzi, a Jędrzej dnie całe w ogrodzie pracuje. Oni zajmują dwie izby, trzecią wynajmują.

Józef uśmiechnął się, przypomniawszy sobie nareszcie owego Fijołka, pod którym Kaźmirz znalazł był schronienie i z pod którego gwałtem prawie trzeba go było wydobywać. Podziękował Ruchli i wnet ruszył na ulicę Bocianią, pod numer wskazany.

Ulica miała charakter czysto przedmieściowy, wiejski prawie, ustronny. Mało kto tędy przechodził, a tém bardziej przejeżdżał; pomiędzy domkami, kryjącymi się w głębi podwórzy, istniały przedziały większe i mniejsze, zapełnione gęstwiną drzew owocowych, znak nieomylny, że mieszkańcom dzielnicy tej mniej o przyjemność, anizeli o wygodę chodziło, o wygodę i o zarobek, tu i owdzie bowiem widzieć się dawały grządki z kapustą, marchwią, pietruszką, selerami, cebulą, czosnkiem itp., gdzie zaś pokazywały się kwiaty, to takie tylko, z których się robiło bukiety i różnianki na sprzedaż. Dlatego obecność kwiatów nie napełniała powietrza wonią; zapachy róż,

goździków, fijołek, jaśminów tłumił odór gnójówek, fermentujących na otwartym powietrzu, świadczących o przemyśle, jakim się oddawali mieszkańcy ulicy Bocianiej i przyległych.

Józef pod numerem sześćdziesiątym ósmym furtkę otworzył i wszedł na podwórko, którego środek cały zappełniało zagajenie wiszniowe, boki zaś i kąty jabłonki i brzoskwinie. Wisznie otaczała drożyna, nieprzeznaczona na to, żeby po niej pojazdy chodziły, pomimo że obok furtki figurowała brama wjazdowa. Drożyna była za nadto wązka i nie żwirowana wcale, brama przeto figurowała dla formy tylko, dla uczynienia zadość przepisom przez municypalność wydanym. Sztukiby dokazał, ktoby ją otworzył, nietylko bowiem zardzewiałe zamki i zawiasy nieruchomości jej zapewniały, ale jeszcze służyła za oparcie dla ułożonej w stos kupy kamieni, będących pozostałością od budowl jakiegós. Za wiszniowem zagajeniem ukrywał się domek, schludny, na podmurowaniu dworek, z ganeczkiem na słupkach i dachem pod gontami. Okna niewielkie, w oknach firanki i żaluzje zielone, kwiatka nigdzie, ani na lekarstwo. Na jednej z frontem dworku linii rozpoczynał się ogród warzywny, świadczący że właściciel onego miał pożytek na głównym względzie, hodując same jarzyny najpospolitsze, kapusty, buraki, cebule i fasole.

Właściciel, pan Jędrzej, siedział właśnie w ganeczku i, jak się zdaje, odpoczywał, oparte bowiem o ścianę stały obok grabie i rydelek, sam zaś był w fartuchu, w kaszkiecie wytartym i w obuwiu przerobionem z butów na trzewiki, zapomocą oberżnięcia cholew. Wszystko to harmonizowało z wyrazem szorstkim oblicza, nastroszonego brwiami w kształcie ostrzeżków i ozdobionego wąsem wiechciastym. Brwi, wąsy i włosy przyprusała gęsta siwizna, świadcząca że pan Jędrzej był człowiekiem niedzisiejszym.

— Niech będzie pochwalony.. — zaczął Józef.

— Na wieki—odrzekł Jędrzej, nie ruszając się z miejsca.

— Słyszałem że macie do wynajęcia izbę.

Starzec nie odpowiedział odrazu, jakby się namyślał. Namysliwszy się, zapytał:

— Od kogo?

— Od Żydówki pewnej...

— Hm... od Żydówki.. z temi Żydówkami... Boże uchowaj... Opędzić się nie sposób, takie to łakome na cebulę, a każdaby chciała durnicy... Któraż to wygadała?

— Ruchla.

— Ruchla, tful.. Licho wie, co to za Ruchla.

— Córka Nuchima Bimbela, tego co trzyma szynk na Główniej.

— W tym samym domu, gdzie warsztat kołtarski?

— W tym samym. Warsztat ten jest moim.

— Aha! No, to i dobrze. Cóż więc, chcielibyście tu warsztat założyć?

— Ale gdzież tam! Potrzebuję mieszkania nie dla siebie.

— Hm... Ta Ruchla, co to za język świerzbący!.. No proszę!.. Wypaplała że tu jest stancya do najęcia.

— Czyż niema?

— Ta-żeż jest... Tylko do czego to paplać...

— Jest, ale jęć wynajmować nie chcecie?

— Chcę, i owszem, czemużby nie.

— Można obejrzyć?

— I owszem. Ot tu z sieni na lewo... Idźcie sobie sami, bo mnie krzyżyska bolą, od podgartowania kapusty przez ranek cały.

Józef wszedł do sieni, z sieni do izby, zatrzymał się na środku, obszedł ją następnie wkoło, przypatrzył się piecowi, wyjrzał przez okno, spojrział na sufit i na podłogę, pomyślał, głową w sposób potakujący skinął i wyszedłszy na ganek, przed gospodarzem stanął.

— No, i cóż tam?—zagadnął ten ostatni.

Józef zapytał o skład na drwa, o wodę, o usługę i o sposób w jaki lokator zaspokaja potrzeby życia.

— Skład na drwa jest, woda jest, usługuję ja, co się zaś życia tyczy, to jak się podoba... Nie-

boszczyk sam sobie śniadanie i wieczerzę robił, a na obiad chodził pod Fijolka... Ale to niekoniecznie... Można chodzić, można nie chodzić... zostawia się to do woli.

— A cena?

— Rocznie talarów czterdzieści, dziesięć na kwartał.

Czynsz ten wyda się dziś bajecznie niskim. Józef znalazł cenę przystępną.

— Zgoda—rzekł—biorę stancję.

— A dla kogo?

— Dla mego brata, Kaźmirza Odrębskiego, studenta uniwersytetu.

— Oj!..—krzyknął starzec.—Kieliszek, karty, podwika!

— Ten nie z takich.. uczy się i spokoju do nauki potrzebuje.

— Ta oni to wszyscy uczą się niby, a marnieją, łysieją, ale nie od książki. Znam ja ich, jak kiepszenie własne. Za młodych moich lat wdawałem się ze studentami.

— Nie chcecie więc bratu memu stancji wynająć?

— I owszem. Kiedy Ruchla wypaplała, to... i cóż robić.

— Zapłacę więc wam czynsz kwartalny, z terminem od dnia pojutrzejszego.

To mówiąc, sięgnął Józef do kieszeni. Starzec rękę wyciągnął, z gestem oznaczającym, ażeby tego nie czynił.

— To nie mój departament. Pieniądze moja bierze.

— Kiedyż jęćmość w domu zastanę?

— Przed piątą rano i po jedenastej wieczorem, albo idźcie pod Fijolek i tam się z nią rozprawcie. Jeżeli pójdziecie dziś, nie zapomnijcie powiedzieć, że to ja was posyłam.

Że Józefowi chodziło o to, żeby go kto nie ubiegł, pośpieszył więc do znajomej garkuchni, w której znalazł wszystko po staremu, z tą jedynie różnicą, że czas na wszystkiem ślady zębów swoich wycisnął. Budynek pochylił się i w ziemię, zdawało się, wsunął, sprzęty nadpróchniały, naczynia poszczerbiły się, pani Jędrzejowa nabrzęka tłustością, wyglądała czerstwo jak dawniej, lecz już się jęć z pod czepca kosmyki siwych wysuwały włosów, a z oczów starość patrzyła. Na fantazyi atoli nie straciła nic a nic. Warzącha służyła jej zawsze, jak hetmanowi buława, i kiedy Józef przed nią stanął, wywinęła ją, na ramię wzięła i w tej postawie rycerskiej posłuchanie mu dała. Józef zaczął od tego, że przychodzi przysłany przez pana Jędrzeja.

— Niedołęga — przerwała na wstępie samym. Od miesiący sześciu nakazuję mu, ażeby stancję wynajął.

— Widać nikt się nie trafiał.

— Nie chciał... O, znam ja Jędrzeja! No, i cóż? Józef przedstawił rzecz całą, przemilczając umyślnie, czy też przez zapomnienie, nazwisko lokatora.

— To dobrze—rzekła baba.—Hm.. Jakże studentowi onemu na honor?..

— Kaźmirz Odrębski.

— Odrębski... Kaźmirz Odrębski... Hm... Oczy do góry wzniosła i brwi namarszczyła. Przypominała coś sobie.

— Odrębski Kaźmirz? At!..—warząchą machnęła.—Pamięć już tracię zaczynam, ot co jest, mniejsza jednak o to... Ale czynsz kwartalny zgóry.. pieniądze na stół.. kredytu u mnie nie ma ani ojciec rodzony.

Słów tych jeszcze nie domówiła, kiedy już dziesięć talarów na dłoni podrzucała.

— Ot tak.. Kwartał każdy zgóry, a nie.. to wynoś się. Ze mną sprawa krótka, prawować się i po sądach ciągać nie lubię, od czasu zwłaszcza procesu z tym urwipolciem, z tym ulicznikiem, z tym bezbożnikiem, co Fijolek z dymem puścić chciał... Wygrałam sprawę, to prawda, ale com się nairytowała, niech Matka Boska bron! Wszystkie paupry, ilu ich jest, niewarci tego. Kiedyż się pan student sprowadza?

— Pojutrze.

— To dobrze. Każę Jędrzejowi izbę przewieźć i oczyścić i powiem mu, żeby z atencją u-

slugiwał.. Mój przed piątą rano zamiata pod Fijolką, po piątą zaś kolkiem w domu siedzi i wartuje, a to dlatego że psa na Bocianiej trzymać nie mogę, bo z głoduby zdechł. Pies nie taki zmysłny, jak człowiek. Panu studentowi, byle płacił akuratnie, będzie u mnie spokojnie i wygodnie.

We dwa dni później bohater nasz mieszkał już na Bocianiej, pod numerem 68. Było mu, w rzeczy samej, spokojnie i wygodnie. Pod ścianą stało łóżko, naprzeciwko kanapka, przed kanapką stół, dokoła półki z książkami, których namnożyło się sporo; zamiast obrazów mapy, polityczne, etnograficzne, topograficzne, geologiczne; kalendarz astronomiczny; na oknie kompas; na stolikach pod ścianami okazy mineralogiczne i botaniczne, zaopatrzone w etykiety; dalej słoiki, a w tych jaszczurki, węże, gadziny, pająki; dalej skielety ptaków i pomniejszych czworonożnych, służących do porównywan anatomicznych; dalej we flaszczech spirytusy, kwasy, odczyny, zeszerowane za naczyniami, potrzebnymi do doświadczzeń i rozbiorów chemicznych; termometr, barometr, instrumenta matematyczne—bogactwa, je-dnym słowem, bogactwa prawdziwe rozłożyły się w izbie, w której zamieszkał Kaźmirz, bogactwa procentujące się w ten sposób, że odsetki od nich występowały pod postacią zdobyczy ustawicznych, które przy ich pomocy bohater nasz czynił.

Rozkoszował-że się, rozkoszował!

Nie przebywał jednak bez przerwy wśród skar-bów swoich. Chodził na uniwersytet, na którym odbywał kursa, zbliżające go do momentu ukończenia nauk.

Nie pozostawał zawsze samotnie. Odwiedzali go koledzy; odwiedzał go często Franio; pojawiał się u niego niekiedy pan Krzysztof; zachodził czasami Józef. Odwiedziny wkładały na niego obowiązki wzajemności, wyciągającej go na wizyty w pałacu hrabiego i na odbywanie regularnie dwa razy na rok powtarzającej się podróży do Orchowiec, z kąd latem jeździł dalej, towarzysząc panu Krzysztofowi w wycieczkach po kraju. Były to przerwy, które jemu przykrości nie sprawiały. Wizyty wiązały się z wycieczkami. Pierwszych punkt ogniskowy stanowiła panna Helena, więcej niż uczenica, mniej niż... co?—a zawsze dziewczyna młoda i piękna, towarzystwo której na żaden żywy sposób nie mogło być młodemu człowiekowi przykrém. Drugie zbogacały wiedzę i pomnażały skarby. Większa część okazów, mineralogicznych zwłaszcza, rozłożonych na stolikach, pochodziła z wycieczek, urządzanych przez pana Krzysztofa.

Życie upływało naszemu bohaterowi słodko i wesoło, tak długo, póki pozostawał w towarzystwie. Nie myślał o przyszłości, albo raczej przyszłość ześrodkowywała się dlań w jednym punkcie, a punkt ten stanowiło zdanie egzaminu. Było to, jakby dla generała rozpoczynającego wojnę, zajęcie stanowiska strategicznego, nierozwiązywanego zadania wojennego ostatecznie, ale ułatwiającego dalszą walkę. Kaźmirz sposobiał się do walki z życiem i gromadził siły swoje wszystkie na punkcie strategicznym, na punkcie wychodnim, po za którym operacje następne przedstawiały się mu mglisto jakoś. Powiadał sobie:

— Stanę na wyżynie i rozpatrzę się.

Dążył więc ku wyżynie owej, doszedł, stanął, rozpatrywał się, i niestety! widział przed sobą mgłę i tu, i tam, i bliżej, i dalej.

Ukończył nauki świetnie, to znaczy: nagromadził w ilości ogromnej zasoby do dalszej na drodze naukowej pracy. Zasoby to były naukowe, które przyrównać można do ewangelicznego „słowa Bożego“, będącego okrasą do chleba. Człowiek żyje nietylko chlebem, ale i słowem. Owóz życiowego słowa owego posiadał nasz bohater zapasy, mogące starczyć i na posiłek codzienny, i na siów; co się jednak tyczy chleba, chleba powszedniego pod postacią najbardziej realną i brutalną, takowego nie posiadał.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Artykuły treści naukowej, z innych piśmiennictw czerpane.

Sztuka włoska w epoce odrodzenia,

przez M. Carrière'a.

II.

Rozkwit sztuki włoskiej.—Leonardo da Vinci.—Michał Anioł
Rafaël, Correggio, Tycyan.

(Dalszy ciąg).

W ukoronowanym cierniową koroną Zbawicielu, stworzył tu Rafaël idealny typ cierpiącego Chrystusa, który sam będąc bez winy, wziął na siebie grzechy całego świata i w swém poniżeniu podnosi we własnej osobie ludzkość całą do Boskiego majestatu. Hettner zwrócił słusznie uwagę, iż obraz ten, wraz z Przemienieniem i kilkoma innymi utworami, nosi piętno odbicia się prądu reformacyjnego, który z Niemiec dostawszy się do Włoch, rozbudził i spotęgował życie religijne w wielu szlachetnych i głębiej myślących duszach.

Gdyby Rafaël nie zostawił nic więcej, prócz swoich Madonn, i takby już należał do rzędu największych malarzów. Poczawszy od pełnych dziecięcego wdzięku i serdeczności utworów z epoki szkoły umbryjskiej, do tętnących wesołym życiem typów florenckiego okresu i skończenie doskonałych postaci z rzymskiej wyszłych pracowni, wszędzie artysta odtwarzał nieporównanym mistrzostwem ideał uczucia, za którym gonila ludzkość w wiekach średnich. Przedewszystkiém ukazuje się nam tu czysto ludzki stosunek matki do dziecięcia, w którym błogość i miłość rodzinnego życia roztacza nad codzienną rzeczywistością aureolę niebiańskiej piękności. Sztuka, jak się wyraża Burekhardt, po piętnastu stuleciach znowu dosięgła wysokości, na której jej postacie same przez się i bez wszelkich innych wpływów ukazują się nam wiecznymi, Boskimi. „Ponieważ piękne kobiety są rzadkie, pisał Rafaël do Castiglione, przeto posiłkuje się pewną ideą, unoszącą się niejako przedemną. Czy idea ta posiada jaką wartość artystyczną, nie wiem, staram się o to jednakże.“ W tém wyznaniu, obok naiwnej skromności, przebija się świadomość owego twórczego poczucia formy, które odtwarza pierwotne wzory przedmiotów, widząc je takimi, jakimi są w blasku wieczności przed Bogiem. Czy to przedstawia Maryą, unoszącą zasłonę nad spiącącym dziecięciem, czy radującą się z jego przebudzenia, czy też jak pogrążona w błogim spokoju, przytulając swego syna do łona; czy znowu przedstawia ją samą z dziecięciem, lub w towarzystwie małego Jana, starszych kobiet (Elżbieta, Anna), albo Józefa—zawsze odtwarza tu Rafaël życie rodzinne i kobietę, jego strażniczkę i koronę, w ogólnoludzkim charakterze i w najczystszym nastroju uczucia, unikając zarówno małowieszczańskiej prozaiczności, cechującej twory malarzów niemieckich, jak i renansansowego przepychu formy, właściwego mistrzom florenckim. To też monarcha hiszpański słusznie nazywał jeden z tych utworów swoją perłą, a *Madonna della Sedia* budzi zachwyt rozkoszny w każdej kobiecie.

Zostawiliśmy na sam koniec najwięcej znaną i najgłośniejszą w środkowej Europie Madonnę Sykstyńską. Jak Beatrycze Dantego, ta w lasce Boga zesłała z tego świata dusza, objawia nam Jego miłość i prawdę, tak na tym obrazie Marya jest ideałem samej duszy, promieniejącej zbawieniem które w siebie przyjęła i które unosi na rękę, w postaci małego Chrystusa. Jezus nie jest tu już owym bawiącym się dziecięciem z wesołą twarzyczką; w pełnym powagi i zadumy obliczu jego odgadnąć można przyszłego zbawcę i sędziego świata. Jest to dziecięcość dojrzałego ducha, którą winien osiągnąć każdy, kto pragnie wejść do królestwa Bożego. Rafaël odchyła

nam tu zasłonę niebiańskich tajemnic i ukazuje Maryą, unoszącą się na obłoku, otoczoną glorią promieniejących blaskim aniołów. Niżej po bokach kłęczący papiież Sykstus z jednej (zład obraz nosi nazwę „Sykstyńskiej“ Madonny), a s-ta Barbara z drugiej strony; u dołu zaś dwa aniołki, wspartsi się na rękę, spoglądają ku górze. Jak w ich dzieciennych twarzyczkach odbija się cała niewinność tego wieku, tak znowu w postaci Barbary jaśnieje radość uszczęśliwionego młodzieńczego uczucia, a w obliczu Sykstusa widać dojrzałość męskiego ducha, który pracą myśli i woli zarabia sobie na łaskę Bożą. Całość obrazu tym sposobem przedstawia niejako uświęcenie życia przez religię, uosobioną w Chrystusie. Z jaką regularnością, przy całej swobodzie indywidualizmu, grupują się te postacie w harmonijnie skończoną, doskonałą całość! Jakież przepyszne stopniowanie od naiwnej prostoty, do radosnej błogości, do świadomego siebie uniesienia, do Boskiego wreszcie majestatu! Obraz ten robi na nas wrażenie niebiańskiego natchnienia, a swą budową przypomina organiczny rozwój rośliny, w której ponad pączkami rozwinięły się dwa liście, a z pomiędzy nich kwiat wystrzelił ku górze. Urok całości podnosi wielce niedościgniona pewność penzla, świadcząca wszędzie o własnej ręce mistrza, który tu nie posiłkował się pomocą uczniów.

Jeżeli Madonnę Sykstyńską słusznie nazwać można lirycznym malowidłem, gdyż przemawia ona do nas jak uroczysty hymn, pełen najczystszej harmonii, to miano znowu malowidła dramatycznego należy się „Przemienieniu,“ utworowi narysowanemu w całości, a wykonanemu tylko w górnej połowie przez Rafaëla, gdyż śmierć zabrała mistrza w ciągu pracy. Na górze Tabor trzech ulubieni uczniowie Zbawiciela zrozumieli, że w Jezusie spełnił się zakon stary. Ukazał się on ich oczom w niebiańskiej aureoli, pomiędzy Mojżeszem a Eliaszem. Schodząc z góry, spotkali uczniowie chłopca cierpiącego konwulsyę, który daremnie szukał ulgi w pomocy innych apostołów. Dwa momenta połączył tu Rafaël w sposób prawdziwie genialny. W dolnej połowie obrazu widzimy przyrodę w jej demonicznym niszczytelstwie, u góry zaś w niebiańskiej aureoli; tu pełnia szczęśliwości, tam nędza i niemoc ziemiska. Odpowiednio temu na dole panują szare cienie, ruchliwe, krzyżujące się linie, niespokojne gesta i postawy; w górze jasność, przejrzystość i łagodny, regularny rytm spokojnych, podniosłych figur. Śmiała wielkość ziemskich postaci, gorączkowa gwałtowność w objawach życiowych, potężność widna nawet w układzie szat, cechuje dolną połowę dzieła, w której Rafaël wyrównywał Michałowi Aniołowi. Uroczysty nastrój i spokojna symetria górnej części przypominają znowu łagodną podniosłość i duchową słodycz starochrześcijańskich dzieł szkoły umbryjskiej, a pod względem skończoności stylu „Dysputę.“ Prostokątna forma dolnej połowy stanowi silną podstawę piramidalnej kompozycji górnej. Biała szata Zbawiciela promienieje blaskiem, który zdaje się załamywać w mieniących się barwach tęczyowych pobocznych draperyj i odciąga oko ku górze, od ciemnych barw niższej sfery. Rozwaga artystyczna, zapał natchniony, swoboda i prawidłowość kompozycji zlewają się tu w najwyższą, najszczęśliwszą harmonię. Promień blasku bijącego od Zbawiciela pada na oko opętanego i uśmierza konwulsyę jego. Co za kontrast między ojcem cierpiącego chłopca, między stroskanymi kobietami i zakłopotanymi swą niemocą apostołami, z górną grupą, w której Jan i Piotr, symetrycznie obaleni na ziemię, osłaniają oczy rękami. Jakub pochyla czoło ku ziemi, Chrystus zaś swobodnie unosi się w powietrzu, pomiędzy Mojżeszem a Eliaszem, ze czcią ku Niemu spoglądającymi.

Uczniowie, którzy za życia mistrza brali udział w wykończeniu jego dzieł i pod jego kierownictwem wykonali wiele znakomitych utworów, przyswoili sobie jego styl, ale tylko powierzchownie; dusza która u Rafaëla stwarzała i wykształcała formy, uleciała. Zład szkoła popadła w gonienie za zewnętrzными efektami, w nudną regularność powabnych lecz martwych linii. Że zaś piękność nie polega jedynie na samej harmonii form, że formy wtedy tylko podnoszą nas i zadowolają, gdy duch i uczucie znajdują w nich widzialne upostaciowanie, o tém można się tu najdobitniej przekonać. Niektórzy jednak z uczniów, a głównie najznakomitszy z nich, Giulio Romano, zostawili godne uwagi dzieła. Tak na przykład w „Ukamenianiu s-go Szczepana“ zachował Romano ducha Rafaëlowskiego, nie tylko w ugrupowaniu całego otoczenia koło kłęczącego apostoła, lecz i w tém, że uniknął wstrętnej strony męczeństwa, wybierając moment, gdy Żydzi, na obliczach których widzimy rozliczne stopnie i odcienia wewnętrznych uczuć, podnoszą dopiero kamienie do góry. Porzuciwszy religijne przedmioty, zwrócił się następnie Romano do scen mitologicznych i historycznych, w których śmiałością rysunku i palącym ogniem zmysłowości stanął pośrodku między Rafaëlem a Rubensem. Działalność swą rozwinął głównie w Mantui. Na ścianach sal książęcego pałacu przedstawił sceny z wojny trojańskiej, a sufit sypialni ozdobił w bardzo powabny sposób upostaciowanymi konstelacjami gwiazd. W innym pałacu sufit jednej ze sal pokrywa historia Erosa i Psyche, wybornie obmyślana i po mistrzowsku wykonana, mianowicie pod względem skrótów, skutkiem których patrzący z dołu widzi postacie w łudzącej prawdzie i rzeczywistości. Drugi pokój mieści znowu na suficie i ścianach walkę bogów olimpijskich z olbrzymami i strącanie tych ostatnich z niebios. Nieokiełznana wyobraźnia artysty zбочzyła tu na bezdroża i popadła w pospolitą zmysłowość.

Perin del Vaga w pałacach genueńskich stosował środki artystyczne, które nauczył się władać, pracując w pałacu farnezyjskim. Andrea da Salerno zaszczerpił w dolnych Włoszech religijny styl Rafaëla. Bardzo powabny w swoim rodzaju Timoteo della Vite przeszedł od Francesco Francia do szkoły Rafaëla, lecz nowa ta droga okazała się niedogodną dla jego talentu. Zato Bartolo Ramenghi w niektórych swych utworach zajmuje podniosłe stanowisko, pomiędzy Fra Bartolomeo i Rafaëlem. Innozenza da Imola odtwarza postacie Rafaëlowskie w nowych tylko kombinacjach. Garofalo tworzy z niezmordowaną pilnością swe drobne „Święte Rodziny,“ pozbawione głębszego uczucia, układem tylko przypominające arcydzieła mistrza. Dosso Dossi utrzymuje pewną samostność, jaśniejąc przepychem kolorytu, od weneckiej szkoły zapożyczonego. Polidoro Caldaro da Caravaggio, z mularza malarzem zostawszy, ozdabiał, wspólnie z Maturinem z Florencyi, zewnętrzne ściany pałaców rysunkami historycznej lub mitologicznej treści, wykonywając je szaro na szarym tle, za wzorem Rafaëla, jako naśladownictwo starożytnych płaskorzezb.

Poczucie piękna, cechujące mistrza, najdłużej i najsilniej przechowało się u Gianantonio Bazzi, zwanego Sodoma, który przybył do Rzymu ze szkoły lombardzkiej. Jeżeli po obrazkach z mitu o Psyche z przyjemnością patrzymy na zaślubiny Aleksandra z Roksana i Rodzinę Daryusza przed Aleksandrem, w pałacu farnezyjskim, świadczy to wymownie o wartości tych dzieł, nagradzających delikatną pięknoscia linii i przejrzystą lekkością kolorytu, wady samej kompozycji.

(Dokończenie nastąpi).